

Roberts Alison

Wspaniała rodzina

Tori lubi wyzwania i postanawia zmienić pracę. Wpływ na jej decyzję ma również to, że w pogotowiu jej kolegą będzie przystojny Matt Buchanan, który bardzo jej się podoba. Wkrótce pojawia się poważny problem - otóż Matt opiekuje się czwórką osieroconych dzieci siostry. Tori chętnie przejąłaby odpowiedzialność za krnąbrną gromadkę, gdyby nie fakt, że najstarsza z dziewczynek występuje przeciwko niej. Postanawia wycofać się z życia tej rodziny...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- O mój Boże!

Victoria Preston jak zwykle wyruszyła wcześniej do pracy, by uniknąć korków, które są codziennym utrapieniem mieszkańców przedmieść Auckland w Nowej Zelandii.

Nie spodziewała się, że zobaczy przed sobą tak dramatyczny widok. To nie korek, lecz wypadek!

Musiał się wydarzyć zaledwie kilka sekund wcześniej, kiedy Tori, śpiewając wesoło na cały głos, pokonywała swoim volkswagenem garbusem zakręt prowadzącej w dół do mostu szosy.

Po drugiej stronie mostu zatrzymał się inny samochód, ale to Tori pierwsza znalazła się na miejscu zdarzenia.

Widok był straszny. Ciężarówka, przewożąca na przyczepie wielkie kłody drzew, leżała w poprzek drogi, blokując przejazd. Kabina kierowcy roztrzaskała betonową barierę mostu i wisiała teraz w powietrzu -jedno olbrzymie koło nadal powoli się obracało. Tori widziała popękaną, zakrwawioną przednią szybę i nieruchomą sylwetkę człowieka nad kierownicą. Przed upadkiem do rzeki chronił kabinę jedynie powyginany zaczep, którym przymocowano ją do przyczepy, teraz już tylko w połowie wyładowanej drewnem.

Spadające kłody poważnie uszkodziły samochód zjeżdżający z jednopasmowego mostu, który ciężarówka najwyraźniej usiłowała wyminąć. Jeden z bali uderzył też w mikrobus jadący za samochodem. Pojazd leżał teraz na boku, a jego boczne drzwi przygniatała ciężka kłoda. Tori dostrzegła w mikrobusie dziecięcą twarz. Nagle panującą wokół ciszę przerwał głośny krzyk. Szybko ogarnęła wzrokiem całą sytuację.

- Zawiadomiłem pogotowie! - Głos dobiegający z za ciężarówki był ledwie słyszalny. - Jak to wygląda po tamtej stronie?

- Niedobrze. - Tori podeszła do mikrobusu. - Trzeba jeszcze raz zadzwonić na pogotowie i powiedzieć im, że to wypadek w wieloma ofiarami.

- Ilu jest rannych?

- Jeszcze nie wiem! - zawołała. - Zaraz zobaczę. Dziecko w mikrobusie krzyczało zbyt głośno, by ją słyszeć. Za kierownicą siedziała kobieta. Twarz miała zakrwawioną, ale poruszała lekko rękami. Przynajmniej daje oznaki życia, czego nie można powiedzieć o kierowcy ciężarówki. Tori dostrzegła jeszcze jedno dziecko - skulone między przednimi fotelami płakało żałośnie, co jednak świadczyło o tym, że nie ma kłopotów z oddychaniem.

Trudno było zajrzeć głębiej do wnętrza samochodu. Dotychczas Tori doliczyła się czworga rannych, w tym dwojga poważnie. Ile jeszcze osób zostało uwięzionych z tyłu mikrobusu? No i ten samochód osobowy...

- Za chwilę wrócę! - Tori zastukała w nienaruszoną przednią szybę mikrobusu, a krzyczące dziecko spojrzało na nią rozszerzonymi ze strachu oczami. - Wszystko będzie dobrze, skarbie. Wytrzymaj jeszcze trochę. Zaraz wrócę.

Ciężko jej było zniknąć z pola widzenia przerażonego dziecka, zostawiając mu tylko mało przekonujące słowa otuchy. Takie sytuacje nigdy się nie zdarzały w izbie przyjęć oddziału ratunkowego szpitala Royal North Shore, gdzie pracowała jako pielęgniarka. Pacjentów przywożono bezpiecznie ułożonych na noszach, a ratownicy udzielali informacji na temat ich stanu. Kiedy zdarzał się ciężki przypadek, o jego przyjeździe zawiadamiano wcześniej drogą radiową, żeby można było przygotować zespół.

Tutaj Tori znalazła się na pierwszej linii frontu. Było to dla niej całkiem nowe doświadczenie. Na szczęście w ubiegłym roku przeszła wstępne szkolenie na kursie ratownictwa miejskiego. Teraz podstawowe informacje na temat procedury działania w sytuacji katastrofy drogowej bardzo jej się przydały.

Musi jak najszybciej określić stan tyłu rannych, ilu się da. Należy sprawdzić, czy drogi oddechowe są drożne, czy ranny oddycha i czy nie ustało krążenie. Negatywna odpowiedź na którekolwiek z tych trzech pytań świadczy o tym, że jego życie jest zagrożone.

W ciągu kilku sekund można udrożnić drogi oddechowe i stwierdzić, czy ranny oddycha, krwawienie zaś można zatamować opatrunkiem uciskowym. Jeśli rannemu grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo, powinna go usunąć z zagrożonego miejsca, bez względu na rodzaj odniesionych ran. Tutaj jednak nie dostrzegła nic niepokojącego. Nie było zerwanych linii wysokiego

napięcia, bale na przyczepie ciężarówki wyglądały stabilnie, a kałużę na asfalcie utworzył płyn z akumulatora, a nie łatwopalna benzyna.

Dzieci w mikrobusie płaczą, a więc nie mają kłopotów z oddychaniem.

Kobieta za kierownicą porusza rękami, co znaczy, że nie jest nieprzytomna. Tori zerknęła na kabinę ciężarówki. Mężczyzna siedział w tej samej skulonej pozycji, co kilka minut temu. Nawet jeśli ma trudności z oddychaniem, nie może dostać się do kabiny, by mu pomóc.

Podeszła do trzeciego samochodu. W fotelu pasażera siedział nieprzytomny mężczyzna w średnim wieku. Był przypięty pasami, głowa opadła mu na pierś. Drzwi z jego strony były tak zgniecione, że nie dało się ich otworzyć. Poduszka powietrzna zwisała z kierownicy jak przekłuty balon. Siedząca za kierownicą kobieta dygotała gwałtownie i przeraźliwie jęczała.

Tori próbowała otworzyć drzwi rozbitego samochodu, kiedy nadjechał inny pojazd i zatrzymał się z piskiem opon, a zaraz za nim następny.

- Czy ktoś wezwał pogotowie?

- Tak. - Spojrzała na stojącego przed nią młodego mężczyznę. - Proszę mi pomóc.

Pierwsza próba nie powiodła się. Potem mężczyzna zaparł się nogą o tył samochodu i pociągnął za klamkę. Oporny metal zazgrzytał i drzwi uchylły się do połowy.

- Co mogę zrobić? - Podbiegła do nich jakaś dziewczyna.

Tori myślała gorączkowo.

- Niech pani siądzie z tyłu, obejmie głowę tego rannego i uniesie ją tak, żeby oparła się o zagłówek.

- Tak nie wolno! - krzyknął młody człowiek.
- Skończyłem kurs pierwszej pomocy. Ranny może mieć złamany kręgosłup.
- W tej chwili ma zablokowane drogi oddechowe
- wyjaśniła Tori. - Jeśli nie zacznie oddychać, wkrótce umrze.
- Dziewczyna wcisnęła się na tylne siedzenie i objęła dłońmi głowę pasażera.
- Tak dobrze? - spytała z niepokojem.
- Doskonale - potwierdziła Tori. Zobaczyła, że pierś rannego się uniosła. - Już oddycha prawidłowo. Trzeba podtrzymywać mu głowę, dopóki nie przyjedzie pogotowie. Da pani radę?
- Dziewczyna przytaknęła, ale nerwowo zerknęła na kobietę za kierownicą, która cały czas jęczała. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z tego, co się wokół dzieje, i niezdarnie próbowała odpiąć pas bezpieczeństwa. Tori nie zauważyła, żeby któraś z jej ran silnie krwawiła.
- Niech pani z nią rozmawia - poleciła dziewczynie. - Trzeba dodać jej otuchy i pilnować, żeby się za bardzo nie ruszała. Wrócę tu, jak tylko będę mogła.
- Wyprostowała się i napotkała czujny wzrok młodego człowieka.
- Gdzie pani idzie? - spytał.
- W mikrobusie są ludzie. Muszę ocenić, w jakim są stanie i w jakiej kolejności należy udzielić im pomocy.
- Mężczyzna zmarszczył czoło.
- Jest pani lekarzem czy coś w tym rodzaju?
- Pracuję jako pielęgniarzka na nagłych wypadkach.
- Zobaczyła na twarzy nieznajomego wyraz ulgi. - Nazywam się Tori - dodała. - A ty?

- Roger.

- Chodź ze mną - poleciła. - Może uda nam się wybić szybę i wydostać dzieci.

Przed mostem zatrzymywało się coraz więcej samochodów. Tori krzyknęła do kierowcy, który właśnie zgasił silnik, by nie pozwolił blokować drogi samochodom ratunkowym. Ku jej zaskoczeniu nieznajomy natychmiast wykonał polecenie i przystąpił do działania. Tori poczuła, że wzrasta jej pewność siebie.

Niełatwo było się dostać do wnętrza mikrobusu przygniecionej przez ciężkie kłody. Tori dostrzegła pobladałą twarz dziecka. Nie było jej zaledwie kilka minut, a dziewczynka, na oko ośmioletnia, spokojnie czekała na jej powrót. Może jednak słowa pociechy zadziałały?

- Można by wybić przednią szybę i wynieść dzieci - zaproponował Roger. Tori potrząsnęła głową.

- Odłamki szkła posypałyby się na kierowcę. Kobieta za kierownicą była nieprzytomna, ale Tori widziała, że jej klatka piersiowa się porusza. Rana na policzku obficie krwawiła, więc potrzebna była natychmiastowa pomoc. Z oddali dobiegło wycie syreny, może nawet dwóch, ale Tori nie zamierzała beczynn timer czekać, skoro mogła ocalić komuś życie.

- Jak ci na imię? - zawołała do dziewczynki, wciąż przypiętej pasami do fotela pasażera, mimo że pojazd leżał przewrócony pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

- Chloe. - Głos dziewczynki brzmiał zaskakująco głośno i wyraźnie. Dopiero teraz Tori spostrzegła, że szyba po jej stronie jest nieco opuszczona.

Podeszła do auta i stanęła na palcach, przysuwając twarz do szczeliny w oknie.

- Jesteś ranna, Chloe?

- Boli mnie ręka.

Tori spostrzegła, że lewe przedramię dziecka jest zniekształcone, zapewne złamane.

- A boli, kiedy oddychasz?

- Nie.

- Może boli cię szyja?

- Nie.

- A może coś jeszcze cię boli, skarbie?

- Nie wiem. - Chloe zaczęła szlochać. - Ja chcę stąd wyjść. Mamusi coś się stało. Ma krew na buzi.

- Pomożemy wam wszystkim wydostać się z samochodu - obiecała Tori. - Kto tam jeszcze jest, oprócz Ciebie i mamy?

- Jack. Zranił sobie nogę. Toby chyba śpi, a Holly bardzo płakała, ale teraz już nie płacze.

- Jesteś najstarsza?

- Taaak - wyszlochała dziewczynka, a Tori ogarnęło przerażenie. Jeszcze troje dzieci! Jedno „chyba śpi”, drugie „Już nie płacze”. To może oznaczać utratę przytomności lub coś gorszego.

- Skarbie, chyba możesz mi pomóc. - Starła się mówić spokojnym, dodającym otuchy głosem. - Wyciągnij zdrową rękę i spróbuj tym pokrętelem opuścić szybę. - Zwróciła się do Rogera, który nie mógł oderwać wzroku od rannej kobiety. - Spróbuj popchnąć szybę w dół, żeby pomóc Chloe.

Wyraźnie ucieszyło go, że może się czymś zająć.

- Oczywiście.

Na miejsce przybyły dwa pojazdy ratownicze, a w dali słyhać było kolejne syreny. Pierwszy zjawił się radiowóz policyjny, a za nim wóz strażacki. Kilka osób z grupy gapiów wskazało Tori, więc policjant szybko ruszył w jej stronę.

- Powiedziano mi, że jest pani pielęgniarzką i wie, ilu jest rannych.

Skinęła głową.

- Doliczyłam się ośmiu ofiar. Co najmniej dwie są w ciężkim stanie: kierowca mikrobusu i pasażer w tamtym samochodzie. - Znów zerknęła na kabinę ciężarówki. - Kierowca ciężarówki być może nie żyje. W mikrobusie są dzieci, których stanu jeszcze nie oceniłam. Co z karetką?

- Będzie za trzy minuty.

Jeden ze strażaków szedł w ich stronę. Rogerowi udało się opuścić szybę, a mała Chloe krzyczała głośno:

- Chcę stąd wyjść! Zabierzcie mnie!

- Mam ją wyjąć? - Roger skierował pytanie do Tori, ale patrzył na strażaka. Dowodzenie akcją należy powierzyć najlepiej przygotowanej do tego osobie.

- Jest ranna? - zapytał strażak.

- Wydaje mi się, że tylko ma złamaną rękę. Trzeba ją szybko zabrać, żeby dotrzeć do jej matki i reszty dzieci.

- W takim razie ja ją wyciągnę. - Strażak był wyższy i mocniej zbudowany niż Roger. Ostrożnie i delikatnie wyciągnął dziecko z rozbitego mikrobusu.

- Roger, zajmiesz się Chloe? - spytała Tori. - Zabierz ją na pobocze i zaopiekuj się nią do przyjazdu karetki. - Zwróciła się do strażaka. - Pomoże mi pan dostać się do kobiety za kierownicą?

W pobliżu pojawiło się jeszcze kilku strażaków. Rozłożyli na ziemi brezentową plandekę i ustawili sprzęt do cięcia metalu. Policjant przez radio przekazał uzyskane od Tori informacje i poprosił o wysłanie na miejsce wypadku ciężkiego sprzętu do podniesienia ciężarówki oraz funkcjonariuszy, którzy mogliby kontrolować ruch przy wjeździe na most.

Nadjechał pierwszy ambulans i wysiadł z niego kierujący załogą ratownik.

- Ta kobieta jest pielęgniarką - poinformował go strażak. - Udzieli bieżących informacji.

Ratownik spojrzał na nią i uniósł brwi.

- Tori!

- Cześć, Matt. - Uśmiechnęła się, mile zaskoczona.

- Całe wieki cię nie widziałam.

- Pracowałem na drugim końcu miasta. - Nie mieli jednak czasu na towarzyskie pogawędki. - Jaka jest sytuacja?

- Zrobiłam, co mogłam. Staramy się teraz dostać do tego mikrobusu. Jest tam troje dzieci, ale jeszcze ich nie widziałam. - Wzięła głęboki oddech. - Kierowca ciężarówki chyba się nie rusza. Możliwe, że nie żyje.

- Wskazała na drugą stronę drogi. - W tamtym samochodzie siedzi nieprzytomny pasażer, stan ciężki. Poprosiłam kogoś, żeby podtrzymał mu głowę, bo inaczej nie mógł oddychać. Kobieta, która prowadziła ten samochód, oddycha, ale słabo reaguje na bodźce.

Kolega Marta rozkładał na ziemi koc, by położyć na nim niezbędny sprzęt.

- Kobieta z mikrobusu najpilniej potrzebuje pomocy - ciągnęła Tori. - Zaraz po wypadku poruszała się, a teraz już nie. Oddycha, ale cały czas traci dużo krwi.

Matt wysłuchał jej z uwagą, po czym wyznaczył zadania koledze.

- Joe, weź kołnierz ortopedyczny i tlen, a potem sprawdź stan rannych w tym drugim samochodzie. Ja zostanę tutaj. Tori mi pomoże. - Zwrócił się do strażaka. - Ile czasu potrzeba, żeby się dostać na tył mikrobusu?

- Właśnie sprawdzamy stabilność tego bala. Nie chcemy, żeby się zsunął, kiedy zaczniemy rozcinać karoserię.

- A teraz jest stabilny? - Strażak kiwnął głową, więc Matt skierował pytanie do Tori. - Możesz wziąć z koca opatrunki, kołnierz ortopedyczny, butlę z tlenem i maskę? Sprawdzę, czy uda mi się wcisnąć przez okno i dosięgnąć rannej.

Dobrze wiedzieć, że na miejscu wypadku wreszcie znalazł się ktoś kompetentny. Matthew Buchanan nie był zwykłym ratownikiem. Jako ekspert prowadził kursy ratownictwa miejskiego, więc doskonale wiedział, jak postępować podczas wypadków drogowych. Tori odczuła przypływ energii. Praca w zespole ratującym ludzkie życie dała jej poczucie, że robi coś bardzo ważnego. Zebrała konieczny sprzęt, kątem oka widząc, że Matt wydobywa z mikrobusu następne dziecko, chłopca. Roger siedział na skraju drogi, trzymając Chloe w ramionach. Przybyła kolejna karetka, a jej załoga natychmiast zajęła się rannymi w drugim samochodzie. Po obu stronach mostu pulsowały światła radiowozów

policyjnych, a jeszcze jeden wóz strażacki przeciskał się między samochodami, które zatrzymały się przed mostem. Gapiów odsunięto od miejsca wypadku, ale chociaż wokół roило się od ekip ratowniczych, nikt nie kazał Tori się odsunąć.

- Nie przecisnę się przez to okno na tyle, żeby pomóc rannej - oznajmił Matt. - Strażacy rozcinają tył samochodu, żeby najpierw wydostać dzieci. Jest tam niemowlę w foteliku i trochę starszy maluch, który chyba stracił przytomność. Mogłabyś zostać i nam pomóc?

- Nigdzie się nie śpieszę. - Tori wskazała na swego garbusa zastawionego wozem strażackim i dwoma radiowozami. - Jak mogę pomóc?

- Mogłabyś na chwilę zawisnąć głową w dół? Poczula świeży przyływ adrenaliny.

- Co miałabym zrobić?

- Założyć rannej kołnierz ortopedyczny, jeśli będzie to możliwe. Sprawdzić, czy oddycha i podać tlen. Opatrzyć tę ranę, żeby nie traciła więcej krwi. Może uda ci się podłączyć jej kroplówkę.

- Spróbuję.

Stanąła na jednej z kłód i wspięła się na bok samochodu. Matt podał jej potrzebny sprzęt. Wszystkie czynności, o których mówił, wykonywała setki razy, ale działo się to w szpitalu. Nigdy jeszcze nie musiała tego robić przewieszona przez otwarte okno w zgniecionych drzwiach samochodu. W skroniach czuła pulsowanie krwi. Jeden ze strażaków trzymał ją za nogi, żeby nie osunęła się niżej.

Ranna oddychała prawidłowo. Puls dawał się wy-

czuć, ale kobieta nie reagowała na bodźce. Tori założyła jej kołnierz ortopedyczny, maskę i podała tlen. Następnie umieściła na ranie gruby opatrunek i ciasno ją zabandażowała.

Mikrobus zakołysał się lekko, strażak mocniej przytrzymał nogi Tori.

- Wszystko w porządku - uspokoił ją. - Tną blachę. Głos Matta również rozległ się gdzieś blisko.

- Przygotowałem kroplówkę, Tori. Sam ci ją poda, a ja tymczasem sprawdzę stan dzieci.

- Dobrze. - Wyciągnęła rękę za siebie. - Poproszę opaskę uciskową.

W głowie jej huczało, kiedy obwiązała ramię kobiety, zdezynfekowała skórę i wkuła igłę w żyłę. Przed oczami tańczyły jej czarne punkciki, co nie ułatwiało pracy. Z trudnością dokończyła zadanie. Palce zaczynały odmawiać jej posłuszeństwa i czuła, że jeśli natychmiast nie zmieni pozycji, to chyba zemdleje.

- Wyciągnij mnie, Sam! - zawołała. - Muszę postać.

Mignął jej przed oczami Mart pochylony nad niemowlęciem w foteliku samochodowym. Kiedy stanęła i wyprostowała się, pojęła, że nie powinna tego robić. Nagła zmiana postawy sprawiła, że pociemniało jej przed oczami, a nogi ugięły się, jakby były z waty. Nie upadła tylko dlatego, że chwyciła ją para silnych ramion.

- W porządku?

- Trochę kręci mi się w głowie - wykrztusiła.

- Usiądź. Włóż głowę między kolana i weź kilka głębokich oddechów.

Dzwonienie w uszach nieco przycichło. Zamrugła oczami i spostrzegła, że Matt trzyma ją za nadgarstek i bada puls.

- Nic mi nie jest- zapewniła go. -Tylko nie jestem przyzwyczajona do pracy do góry nogami.

- Świetnie się spisałaś - odrzekł z uśmiechem. -Dziękuję.

- Co z dziećmi?

- Starszy chłopiec dobrze. Był przytomny, tylko zbyt wystraszony, żeby się ruszać. Dziewczynka ma guza na głowie. Uderzenie mogło być groźne. Oboje jak najszybciej zostaną odwiezieni do szpitala. Wybijemy przednią szybę, żeby wydostać z wraku matkę.

- A co z innymi?

- Kobieta z drugiego samochodu ma kilka sińców i skaleczeń, ale dzięki poduszce powietrznej nie odniosła poważniejszych obrażeń. Jej mąż odzyskał przytomność, ale trzeba mu było podać środki uspokajające. Rana na głowie sprawiła, że był bardzo wojowniczy. - Nad nogami Tori przeskoczył strażak. - Musisz się przesunąć, żeby ratownicy mogli się dostać do przedniej szyby. Dasz radę wstać?

- Jasne - potwierdziła, ale chętnie skorzystała z pomocy Matta. Oparta o najbliższy wóz strażacki, przyglądała się, jak ratownicy wydobywają nieprzytomną ranną z mikrobusu.

Załoga nowo przybyłego ambulansu zabrała pacjentkę, a Tori zastanawiała się, ile wozów ratowniczych tu przysłano. Najbliższym szpitalem był Royal North Shore, gdzie pracowała. Kiedy sobie to uprzytomniła,

zerknęła na zegarek. Od godziny powinna już być w pracy.

- Przepraszam! - zawołała do jednego z ratowników. - Jedziecie do Royal North Shore?

- Tak. Oni są przygotowani na przyjęcie ofiar.

- Nazywam się Victoria Preston - oznajmiła Tori. - Powinnam teraz być na dyżurze w izbie przyjęć. Zawiadomisz tam kogoś o tym, co się ze mną dzieje?

- Oczywiście.

- A może chcesz z nimi jechać? - Matt usłyszał ich rozmowę. - Policja zajmie się twoim samochodem.

- Ty już stąd odjeżdżasz? Matt potrząsnął głową.

- Zostajemy tu, bo ktoś może odnieść rany przy uprzątnięciu miejsca wypadku. Zaraz przyjedzie dźwig, więc sprawdzimy stan kierowcy ciężarówki, choć właściwie...

- No tak. - Tori spojrzała na bezwładną postać w kabinie ciężarówki i na wraki samochodów. Nagle poczuła, że jest bardzo zmęczona. - Ja też tu jeszcze zostanę - zdecydowała. - Chyba nie mam siły zacząć teraz pracy. - Wzięła głęboki oddech. - Nie pojmuję, jak sobie radzisz z takimi sytuacjami. Przecież codziennie się z nimi stykasz.

- Do tak poważnych wypadków drogowych dochodzi rzadko - odparł i uśmiechnął się. - Wiesz zresztą, jak to jest, kiedy się pracuje w pogotowiu. Takie zdarzenia dają możliwość sprawdzenia swojej wiedzy i umiejętności.

Tori przypomniała sobie, jak się czuła, kiedy brała udział w akcji, i powoli skinęła głową.

- To zupełnie co innego niż praca w szpitalu, prawda? Musisz bardziej polegać na sobie. Nie zawsze można zawołać lekarza czy kogoś, kto lepiej sobie poradzi z problemem.

- A każdy przypadek jest inny. Na pewno nigdy się tu nie nudzimy. Kolega Matta, Joe, składał już sprzęt, ale Matt Wyraźnie chciał przedłużyć rozmowę. Stał obok Tori i oparł się o wóz strażacki.

- A tak w ogóle, to jak się miewasz? - zapytał. - Ostatni raz widziałem cię chyba pół roku temu.

- Owszem. Namówiłeś mnie na kurs ratownictwa miejskiego, pamiętasz?

- Oczywiście. Chodziłaś wtedy o kulach. Jak noga?

- Świetnie, już całkiem zdrowa.

- Czy ten kurs na coś ci się przydał?

- Jak najbardziej. - Uśmiechnęła się do niego. - Kiedy dzisiaj znalazłam się jako pierwsza na miejscu wypadku, od razu przypomniały mi się zasady oceniania stanu rannych.

- Naprawdę? - Matt miał tak uszczęśliwioną minę, że Tori uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Naprawdę - potwierdziła. - To był doskonały kurs.

- W takim razie powinnaś się zapisać na bardziej zaawansowane szkolenie. W zespołach ratowniczych przydaliby nam się ludzie o wykształceniu medycznym.

- Hm... - Brązowe oczy spoglądały na nią ciepło, z autentycznym zainteresowaniem. - Być może się zdecyduję.

Przez krótką chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Tori przypomniała sobie, że pół roku temu czuła, że

rodzi się między nimi jakaś więź. Nie miała nic przeciwko temu, by to porozumienie przekształciło się w przyjaźń.

Wolała jednak, żeby Mart nie wyciągnął zbyt daleko idących wniosków, więc szybko przerwała kontakt wzrokowy.

- Jak dzieciaki? - To pytanie dobitnie przypomniało jej, dlaczego Matthew Buchanan był kandydatem jedynie na przyjaciela i kolegę z pracy.

- Nareszcie się układa. Właśnie dlatego na jakiś czas zniknąłem. Przez pół roku pracowałem za biurkiem, bo miałem nadzieję, że zajęcie w regularnym trybie pomoże mi ułożyć sprawy domowe.

- I udało się? Wzruszył lekko ramionami.

- Chyba tak. Ale bardzo brakowało mi pracy w zespole karetki. W końcu doszedłem do wniosku, że jeśli będę nieszczęśliwy, to na dłuższą metę nikt na tym nie skorzysta. Moje niezadowolenie z życia zaczynało się odbijać na rodzinie, choć bardzo się starałem nad tym panować.

Tori spojrzała na niego uważnie. Każdy, kto był zdecydowany postawić swoje życie na głowie, a nawet wyrzec się związku dla dobra czworga osieroconych siostrzenic i siostrzeńców, wydawał jej się prawie święty.

- A więc jeszcze nie znalazłeś nikogo do pomocy? Roześmiał się głośno.

- Każda rozsądna kobieta ucieknie z krzykiem na wzmiankę o czworgu dzieciach.

- To prawda. - Tori uśmiechnęła się ze zrozumieniem. - W takim razie musisz poszukać jakiejś nierozsądnej.

- Chyba raczej całkiem szalonej.

- Możliwe, że to by pomogło. - Dowcipem starała lię pokryć

zakłopotanie, w jakie wprawiała ją ta rozmowa. Na szczęście nadarzyła się okazja do zmiany tematu. - Spójrz! Udało im się podnieść kabinę ciężarówki.

- A więc pora przygotować się do działania. - Matt patrzył przez chwilę, jak kabina z nieszczęsnym kierowcą w środku wolno opuszcza się na ziemię, a potem podszedł do ambulansu. - Wezmę torbę ze sprzętem.

- Pomóc ci? - Zmęczenie Tori zniknęło w tajemniczy sposób. Istniała przecież szansa, że kierowca

*yje-

- Joe, Tori oferuje nam pomoc. Daj jej najcięższy sprzęt, dobrze? Kolega Marta uśmiechnął się od ucha do ucha i podał jej zestaw do ratowania życia.

- Jak w drugą rękę weźmiesz butlę z tlenem, to łatwiej utrzymasz równowagę - poradził.

- Dzięki.

- Żartowałem! - Ułożył sprzęt na noszach. - Zabierzemy tam cały wózek. Pociągnij za te rączki na końcu, żeby go rozłożyć.

Zaczekali, aż operator dźwigu ustawi kabinę na ziemi. Matt szybko otworzył drzwi i dotknął szyi kierowcy.

- O! Wyczuwam puls. On żyje! - krzyknął zdziwiony.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nikt się nie spodziewał, że ocala to życie. Na kwadrans Tori stała się częścią małego zespołu, który robił wszystko, by ustabilizować stan pacjenta z ciężkimi obrażeniami głowy i klatki piersiowej. Strażacy wydobyli go z kabiny, a Mart go zaintubował i podał mu tlen, ponieważ uszkodzone płuca nie były w stanie pobierać odpowiedniej ilości powietrza. Tori natomiast podłączyła kroplówkę, by podać mężczyźnie płyny pomagające organizmowi przetrzymać wstrząs. Monitorowała jego czynności życiowe, takie jak ciśnienie krwi, częstość i rytm akcji serca oraz poziom zaburzeń oddechowych. Odkryła też portfel w tylnej kieszeni dżinsów.

- Nazywa się Wayne Judd - oznajmiła. - Ma pięćdziesiąt trzy lata. W prawie jazdy znalazła adnotację, że jest na liście potencjalnych dawców organów. Portfel zawierał również zdjęcia kobiety i dzieci, niewątpliwie rodziny Wayne'a. Nagle pacjent stał się realnym człowiekiem. Jego wysiłek, by pomóc innym, chociaż nie mógł już pomóc sobie, umocniły w Tori pragnienie, żeby ocalić mu życie. Pomogła wtoczyć nosze do karetki, odłączyła pacjenta od przenośnej butli z tlenem i podłączyła go do głównego zbiornika w samochodzie. Mart przyłożył

stetoskop do piersi ranego i spojrzął na wskaźnik kapturacji krwi tlenem, wyświetlony na monitorze przenośnego zestawu ratowniczego.

- Za niski - oznajmił. - Pacjent potrzebuje wentylacji z przerywanym ciśnieniem dodatnim.

- Mogę to zrobić. - Tori przysunęła się do ranego, mieniła mu maskę tlenową i naciskając przymocowana do niej gruszkę, wprowadziła mu do płuc powietrze o zwiększonej zawartości tlenu.

- Ruszamy - zarządził Matt.

Po raz pierwszy miała okazję obserwować akcję rttunkową z perspektywy członka załogi karetki. Gdyby mogła polegać tylko na sobie, na pewno nie udźwignęłaby ciężaru odpowiedzialności. Dzięki Mattowi wszystko wydawało się prostsze. Wykonywał konieczne czynności z taką wprawą i pewnością siebie, że Tori CZuła jedynie graniczącą z uniesieniem satysfakcję ze twojej pracy. Niemal z rozczarowaniem spostrzegła, że dojechali do szpitala.

Matt już wcześniej połączył się z oddziałem ratunkowym i przekazał dane o stanie pacjenta.

- Wayne Judd, lat pięćdziesiąt trzy - poinformował Matt lekarza przyjmującego. - Kierowca ciężarówki, uwięziony w kabinie pojazdu mniej więcej półtorej godziny. Kiedy do niego dotarliśmy, był nieprzytomny. Trzy punkty w skali Glasgow. Oddech miał przyspieszony, w lewym płucu brak odgłosów oddychania, saturacja tlenem osiemdziesiąt trzy procent, ciśnienie krwi osiemdziesiąt pięć na pięćdziesiąt, częstość akcji serca sto trzydzieści.

Lekarz skinął głową.

- Przenieśmy go za łóżko - polecił i wszyscy członkowie zespołu chwycili za prześcieradło, na którym leżał pacjent. - Na trzy - poinstruował ich lekarz. - Raz, dwa... trzy!

Maureen, jedna z pielęgniarek, rozcięła resztki ubrania kierowcy. Kątem oka zerknęła na Tori.

- Nawarzyłaś sobie piwa - szepnęła. - Zabawiasz się, zamiast pracować.

- Nic nie mogłam na to poradzić - zaprotestowała Tori. - Pam chyba za bardzo się nie wściekała, co?

- Nie miała czasu. - Maureen włożyła buty kierowcy do torby przeznaczonej na przedmioty należące do pacjenta. - Mamy tu kompletny chaos.

Matt odsunął nosze na bok, by nie utrudniały lekarzom i pielęgniarkom dostępu do chorego, a sam w rogu pokoju wypisywał konieczne dokumenty. Maureen spojrzała na niego i na jego kolegę, wkładając do torby pozostałe rzeczy pana Judda.

- Też by mi się nie śpieszyło do pracy, gdybym mogła się zabawić z tymi dwoma - stwierdziła.

Obie wyszły z sali. Tori zdecydowała, że najwyższy czas wytłumaczyć się ze spóźnienia przed siostrą dyżurną. Nie chciała też ciągnąć rozmowy z Maureen, której zainteresowania skupiały się głównie na mężczyznach. Koleżanka jednak nie ustępowała.

- Kim jest ten nowy ratownik? - zapytała.

- To Matt Buchanan. Nie jest nowy. W zeszłym roku pracował w tym rejonie, zanim ty się u nas zjawiłaś. Ostatnie pół roku spędził w biurze.

- Znasz go?

Tori skinęła głową.

- Skończyłam kurs ratownictwa, który prowadził.
- Wiesz może, czy jest żonaty?
- Owszem.
- Aha. - Maureen posmutniała. - Dlaczego najfajniejsi faceci zawsze są zajęci?

Tori właściwie miała na myśli, że owszem, wie, czy Matt jest żonaty i już chciała wyjaśnić to koleżance, ale Ugryzła się w język. Matt pewnie doskonale potrafiłby tłą obronić nawet przed taką flirtiarą jak Maureen, ale W Tori nagle obudziły się uczucia opiekuńcze. Co Więcej, z przyjemnością udzieliła koleżance następnej informacji.

- Na dodatek ma czworo dzieci. Pielęgniarka ciężko westchnęła.
- To przesądza sprawę, prawda?
- Raczej tak. - Tori spostrzegła Pam w głębi korytarza i ruszyła w jej stronę. Minęła po drodze obu ratowników. Matt uśmiechnął się, więc odpowiedziała mu tym samym.
- Na razie - powiedziała. - Nie pracujcie zaciężko.
- Postaramy się - obiecał. - Na pewno nie chcesz pojeździć z nami do końca dyżuru?
- Z chęcią bym to zrobiła, ale moje szefostwo nie byłoby zadowolone.
- Chcesz, żebyś wyjaśnił, co się stało?
- Pam to równa dziewczyna, tylko wiecznie zestresowana. - Pomachała im, kiedy przechodzili przez automatyczne drzwi wychodzące na podjazd dla karettek. Matt i Joe, śmiejąc się, wsunęli nosze do samochodu. Mimo odległości uśmiech Matta wydał jej się

zaraźliwy. Jak powiedziała Maureen, czwórka dzieci przesądza sprawę, jeśli chodzi o poważniejszy związek, ale przecież przyjaźń może być równie ważna.

A Matthew jest wspaniałym kandydatem na przyjaciela. Sympatyczny, wesoły, a teraz na dodatek pracuje w tej samej części miasta. Będzie go widywała dużo częściej. Na samą myśl o tym robiło jej się różnie na duszy.

- Pam, przepraszam, ale w drodze do pracy natrafiłam na wypadek. Naprawdę nie mogłam dotrzeć tu wcześniej.

Przełożona skinęła głową i westchnęła.

- I tak mamy za mało ludzi, a na dodatek teraz wszyscy są zajęci w izbie przyjęć. Miną godziny, zanim oddział zacznie znów normalnie funkcjonować. Przebierz się, zaraz przydzielę ci pacjentów. Możesz zostać dziś trochę dłużej?

- Jasne. - Idąc do szatni, Tori zerknęła przez przeszklone drzwi na odjeżdżającą karetkę. Pomyślała, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Im dłużej zostanie w pracy, tym większą będzie miała szansę spotkać Matta. A im częściej będzie go widywać, tym łatwiej się zaprzyjaźnią.

Choć bardzo się starała, udawało jej się porozmawiać z Mattem najwyżej przez chwilę.

Załogi karetek na ogół nie spędzały na oddziale dużo czasu. Na dodatek Mart i Joe wyjątkowo szybko załatwiali wszystkie sprawy. A kiedy coś zatrzymywało ich dłużej, Tori zazwyczaj była zajęta i mogła tylko z oddali posłać im przelotny uśmiech czy pomachać ręką.

Na szczęście Mart również wydawał się zainteresowany odnowieniem ich znajomości. Przez kilka dni po wypadku on i Joe często pytali o stan zdrowia rannych, a Tori starała się mieć bieżące informacje na ten temat. Chloe pierwsza została wypisana ze szpitala.

- Założyli jej różowy gips na rękę - poinformowała Tori Matta. - Była zachwycona.

Dzień później do domu wypisano jej rodzeństwo.

- Ich matka jest wciąż na intensywnej opiece, ale dziś lub jutro zostanie przeniesiona na zwykły oddział.

Pasażer drugiego samochodu leżał na oddziale dla chorych z urazami kręgosłupa.

- Miał złamane dwa kręgi, szósty i siódmy - informowała Tori. - Dobrze, że kazałam tej dziewczynie podtrzymywać mu głowę. Trzeba go było zoperować, ale na razie nie widać żadnych uszkodzeń neurologicznych. Kierowca ciężarówki był w gorszym stanie. Tydzień po wypadku nadal trwał w śpiączce.

- Odwiedziłam go. - Tori potrząsnęła głową. - Wygląda okropnie. Oczy ma podbite, twarz spuchniętą. Żona prawie nie odchodzi od jego łóżka. Jest bardzo wdzięczna za pomoc, jakiej mu udzielono na miejscu wypadku. Chciała mi dziękować, ale jej wyjaśniłam, że to wy zasługujecie na pochwały. Na pewno chętnie was pozna.

- Może później uda nam się wpaść do niego.

- A może zajrzysz teraz? - zaproponował Joe. - Dostałem informację z dyspozytorni, że mamy poczekać na pacjentkę po zabiegu plastycznym, żeby ją odwieźć do domu pod miastem. Sam mogę sprowadzić ją do karetki.

Tori nie zamierzała przegapić okazji.

- Mam teraz przerwę - oznajmiła. - Pójdę z tobą, Matt.

Żeby przedłużyć drogę na intensywną opiekę, nie skorzystali z windy, tylko ruszyli w stronę schodów.

- Świetnie - rzekła Tori, otwierając drzwi przeciwpożarowe. - Taka przerwa bardzo mi się przyda.

- Odniosłem wrażenie, że dziś jest tu względnie spokojnie.

- Powiedziałabym, że wręcz nudno. Miałam dwóch pacjentów z bólem podbrzusza, jednego starszego człowieka z krwawieniem odbytniczym i jedną skreconą kostkę. Czyli jak dotychczas nic poważnego.

- Bardzo cię przepraszam - odrzekł Matt ze śmiechem. - Zobaczą, może uda mi się załatwić dla ciebie jakiś ciekawy wypadek samochodowy czy coś w tym rodzaju.

- Wiem, że to zabrzmiało okropnie - przyznała Tori. Spojrzała na niego surowo. - To twoja wina, że praca na ratunkowym nagle stała się nudna.

- Czy to moja wina, że ludzie są zdrowi i szczęśliwi?

- Nie, ale akcja na miejscu tamtego wypadku tak bardzo mnie zajęła, że zaczęłam zauważać, jaką zwykłą, banalną pracę wykonuję tu na co dzień.

- W takim razie zacznij pracować w pogotowiu - zasugerował. - Ale tam też zdarzają się nudne dni, wierz mi.

- No tak, ale kiedy przestaje być nudno, to robi się naprawdę ciekawie.

- To prawda.

Otworzyli drzwi wiodące do oddziału intensywnej te-

rapii. Pani Judd podziękowała Mattowi za wszystko. Miała dziś pogodniejszą minę niż wczoraj, ponieważ jej mąż wykazywał oznaki powrotu do przytomności.

- Dostaje środki uspokajające, bo nadal jest pod respiratorem, ale dziś rano otworzył oczy i wiem, że mnie poznał. Nawet uścisnął mi rękę.

- To wspaniale - rozpromienił się Matt. Colleen Judd zadała mu wiele pytań na temat

wypadku, ale Tori nie mogła skupić się na rozmowie. Zastanawiała się nad swoją pracą. Przecież właśnie to chciała robić, pracować na oddziale ratunkowym. Do tej pory nigdy nie rozważała zmiany zajęcia.

- Pomyślę o tym, co mówiłeś - oznajmiła Mattowi, gdy schodzili na dół. - Przydałaby mi się jakaś odmiana.

- Naprawdę? Nie jesteś zadowolona z pracy w szpitalu?

Tori mogłaby przysiąc, że w jego bezach zobaczyła autentyczną troskę.

- Ostatnie miesiące mojego życia były dość dziwne

- przyznała. - Kiedyś różne rzeczy bardziej mnie cieszyły.

- A co się stało? - Matt zatrzymał się na półpiętrze, więc Tori również przystanąła.

- To znów twoja wina - powiedziała z uśmiechem.

- Do tej zmiany przyczynił się twój kurs. Matt pytająco uniósł brwi.

- Pamiętasz ten cyklon, który wtedy szalał nad Pacyfikiem?

- Owszem, ale to nie dlatego zorganizowano kurs

- odparł, marszcząc czoło.

- Na tereny dotknięte katastrofą wysłano zespół

ratowników. Sara została do niego powołana dzięki temu, że właśnie skończyła kurs. Ja nie mogłam jechać, bo nie wyleczyłam jeszcze kontuzji nogi.

- Sara to twoja siostra, prawda?

- Nie jest moją rodzoną siostrą, tylko przybraną, ale łączy nas bardzo wiele. Obie nadal mieszkaliśmy wtedy w domu i bardzo długo opiekowałyśmy się mamą, zanim umarła w zeszłym roku.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego to moja wina. - Patrzył na Tori uważnie, co wcale nie sprawiało jej przykrości.

- Zapisałam się na kurs i namówiłam na niego Sarę tylko ze względu na ciebie.

- Naprawdę?

- Doszłam do wniosku, że jesteście dla siebie stworzeni.

- Jak to?

- Sara kocha dzieci, a ty prowadzisz prywatny sierociniec.

Matt roześmiał się.

- To nie sierociniec. Te dzieciaki to przecież moja rodzina.

- Jasne. Po prostu jesteś zbyt porządny, żeby wykręcić się od opieki nad nimi.

- To cały ja.

- Na dodatek jaki skromny! - stwierdziła ze śmiechem. - Właściwie to jestem bardzo rozczarowana, że nie zostałeś moim szwagrem.

- Tylko dlatego, że nie dała mi szansy - zaprotestował. - Gdzie ona teraz jest? Dawno już nikomu się nie oświadczałem, więc mogę spróbować.

- Właśnie to chcę ci wyjaśnić - odparła z jękiem Tori. - Sara pojechała na tę wyprawę ratunkową i już nie wróciła.

- Co takiego?

- Poznała kogoś. Teraz mieszkają razem w Londynie, ale za dwa miesiące wracają na Fidżi, żeby się pobrać.

- W takim razie pewnie nie przyjmie drugich oświadczeń. - Matt potrząsnął głową w filozoficznej zadumie. - Takie historie ciągle mi się przytrafiają.

- Moje życie też się przez to zmieniło. - Tori westchnęła. - Po raz pierwszy mieszkam sama. Dom jest o wiele za duży dla jednej osoby, ale nikt nie chce ze mną zamieszkać, bo to za daleko od miasta, a sprzedać go nie mogę, bo w połowie należy do Sary. Zresztą obie w nim dorastałyśmy i tak naprawdę wcale nie chcę go sprzedawać. - Uśmiechnęła się trochę smutno. - Właśnie tak to wygląda. Jestem wolna i niezależna, ale zamiast używać życia, pracuję jak szalona i tęsknię za Sarą. Tylko praca dawała mi jakieś zadowolenie, a teraz, przez ciebie, zaczynam się zastanawiać, czy to jest naprawdę to, co chcę robić.

Odezwał się pager i Matt przeczytał wiadomość.

- Joe mnie wzywa. Muszę wracać. Czeka nas długa droga za miasto. Mało ekscytujący finał dnia.

- Lepsze to niż czekanie w zamkniętym pomieszczeniu na kolejną skręconą kostkę lub bolący brzuch.

Matt otworzył drzwi przeciwpożarowe.

- Skoro to moja wina, że twoje życie straciło na atrakcyjności, to może postaram ci się to jakoś wynagrodzić.

Serce Tori podskoczyło z radości.

- Zamieniam się w słuch - odrzekła.

- Dołącz do nas któregoś dnia. Załatwię ci zezwolenie na udział w wyjazdach karetki w charakterze obserwatora.

- Z kim bym jeździła?

- Joe na pewno nie będzie miał nic przeciwko trzeciej osobie w ambulansie - odparł Matt z uśmiechem. - Czuję się w obowiązku dopilnować, żeby twoje życie znów nabrało barw.

- Tak chyba będzie sprawiedliwie. Porozmawiam z przełożonymi i dam ci znać.

- Jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi. Słyszac to nonszalanckie stwierdzenie, Maureen

spojrzała na Tori ponuro. Odłożyła kolorowe pismo i wyszła z pokoju pielęgniarek. Erin, koleżanka, która zaczęła rozmowę na temat Marta, popatrzyła na Tori znacząco.

- Ktoś tu jest bardzo niezadowolony. Tori wzruszyła ramionami.

- Ona rozpaczliwie szuka nowego chłopaka. Matt jej się spodobał.

- Wcale się nie dziwię. - Erin odgryzła kolejny kęs kanapki. - Jak długo się spotykacie?

- Wcale się nie spotykamy. To znaczy, nie umawiamy się na randki.

Naprawdę jesteśmy tylko przyjaciółmi. Kilka razy pracowałam z nim jako załoga karetki. Poważnie się zastanawiam, czy nie przenieść się do pracy w pogotowiu.

- Chyba żartujesz!

- Ani trochę. Bardzo mi się tam podoba. Każde wezwanie jest inne i nigdy nie wiadomo, co się wydarzy. Jednej nocy pojechaliśmy do rezydencji, gdzie do środka wpuściła nas pokojówka, a zaraz potem do meliny jakiegoś gangu. Policja musiała tam pilnować, żeby nic nam się nie stało. Erin wzdrygnęła się gwałtownie.

- A co się dzieje, kiedy nie ma pod ręką policji? Tori nie zwróciła uwagi na to ostrzeżenie.

- Wezwano nas do pacjenta z raną postrzałową - ciągnęła. - Przez otwór w klatce piersiowej zasysało się powietrze. Musiałam nakryć ranę dłonią i tak trzymać, dopóki nie założyliśmy opatrunku. A kiedy wieźliśmy go do karetki, na ulicy trwała wojna gangów. -- Westchnęła z zachwytem. - To było naprawdę coś!

- Wolę pracować tutaj. Kiedy ktoś zaczyna rozrabiać, zawsze mamy do dyspozycji kilku strażników
oznajmiła koleżanka. - Właściwie to mam już dość ratunkowego. Myślę o powrocie na ortopedię.

- A mnie się w pogotowiu podoba - powtórzyła Tori. - Zwłaszcza kiedy mam dyżur z Mattem i Joem. Zawsze mnie rozbawiają.

- Hm... - Erin spojrzała na nią pobłaźliwie. - Powiadasz, że tylko się przyjaźnicie?

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi - zapewniła jeszcze raz Tori, kiedy wieczorem zadzwoniła do niej z Londynu Sara. - To bardzo miły facet, Sas. Może powinnaś się jednak zastanowić nad wyborem.

- Teraz, kiedy znalazłam Bena? Nie ma mowy, kochana!

Tori zdusiła w sobie ukłucie zazdrości o to, że Sara znalazła „tego jedyne”. Przecież jej wcale na tym nie zależało. Przynajmniej w najbliższym czasie. Miała dopiero dwadzieścia pięć lat i zamierzała się wy-szaleć, zanim się ustakuje, tak jak siostra w tej chwili.

- Jak się miewa Phoebe? - zapytała. - Nadal tak dobrze dochodzi do siebie po operacji?

- Wręcz zadziwiająco szybko - odrzekła Sara. - Dzięki temu zabiegowi odbudowała się normalna skóra. Blizny z twarzy zniknęły. Kiedy zejdzie jej opuchlizna, będzie wyglądała pięknie.

- To cudownie. - Tori wiedziała, że jej głos nie brzmi tak entuzjastycznie, jak powinien. - Brakuje mi ciebie, Sas.

- Ślub już niedługo. Poza tym nasze plany wyjazdu do Nowej Zelandii nabierają całkiem realnych kształtów. Przekonałam Bena, że będzie najlepiej, jeśli zamieszkamy na północ od Auckland. Łatwo dojedzie do pracy do centrum miasta. Zaczynaj już szukać w swojej okolicy ładnych domów.

- Może powinniście zamieszkać w tym domu? Dla mnie jest o wiele za duży.

- Zmieściłby się tam Matthew z całą swoją gromadką - dodała ze śmiechem siostra.

- Nie żartuj sobie. Skóra mi cierpnie na samą myśl o przyjęciu pod swój dach cudzej rodziny. Doskonale wiesz, że kiedy dorastałam, miałam serdecznie dość obcych dzieci branych do domu na wychowanie.

- No, no! Ja jestem jednym z tych dzieci.

- Ty to co innego. - Tori przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło. - Tak się cieszę, że zadzwoniłaś.

- Wszystko w porządku? Masz taki głos, jakbyś... jakbyś się czuła samotna.
 - Kto? Ja? No co ty! Taka balangowiczka i flirciara jak ja? Samotna? Daj spokój!
 - No to opowiedz mi o którymś z najnowszych podrywów. Ostatni, o którym słyszałam, to Robert. Okazał się kompletną katastrofą.
 - To właśnie był mój ostatni podryw - przyznała Tori. - Smutne, co?
 - No to weź się do dzieła i znajdź kogoś nowego - zachęciła Sara. - Czuję, że lubisz Matta.
 - Matt nie wchodzi w grę.
 - Dlaczego?
 - Dobrze wiesz. Ma czworo dzieci i żadnego życia osobistego.
 - Nie musisz od razu wychodzić za niego za męż.
 - To taki typ, który uznaje tylko poważne związki. I jest dla mnie taki miły, że wcale nie chcę jeszcze bardziej komplikować mu życia. A poza tym, nie uśmiecha mi się opieka nad gromadą dzieciaków.
 - Na pewno czasami robi sobie od nich wolne.
 - Z tego co wiem, to tylko kiedy jest w pracy.
 - To może potrzebuje okazji do rozrywki.
- Tori na chwilę zamilkła. Taka myśl też jej kiedyś przyszła do głowy.
- I przynajmniej nie ukrywał istnienia dzieci, a tego nie można powiedzieć o Robercie. No i nie ma żony.
 - Ale jest brzydki.
 - Nie zapominaj, że wiem, jak wygląda.
 - Racja.
 - Kiedy się spotkacie?

- Nie spotykamy się. Jesteśmy tylko...
- Tylko przyjaciółmi - przerwała jej Sara. - Już mówiłaś. No to kiedy znów razem wyruszacie w drogę?
- Jutro.
- Nocny dyżur?
- Tak.
- Dobrej zabawy.

- Postaram się. - Tori uśmiechała się do siebie jeszcze długo po skończeniu tej rozmowy. Wiedziała, że dyżur w towarzystwie Matta będzie miłym doświadczeniem. Dobrze im się rozmawiało, mieli podobne poczucie humoru, więc sugestia Sary wcale nie była taka absurdalna.

Później tego dnia, gdy kręciła się niespokojnie w łóżku, doszła do wniosku, że powinna Mattowi zaoferować tylko przyjaźń. To jest zbyt porządny człowiek, żeby mu proponować przelotny romans bez zobowiązań. A może po prostu za bardzo go polubiła?

Wszystkie jej dotychczasowe przyjaźnie z mężczyznami kończyły się związkiem fizycznym lub przynajmniej pragnieniem takiego związku przez jedną ze stron. Włączenie seksu do znajomości z Mattem byłoby najszybszym sposobem zepsucia tego, co może się przekształcić w najpiękniejszą przyjaźń, jakiej Tori zaznała. Nie warto ryzykować.

- I to jest ostateczny wniosek - wyszeptała do siebie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jednak wspólny dyżur wcale nie okazał się przyjemny.

Zaczął się od wezwania do wypadku. Samochód potrącił pieszego. Kiedy pędzili ulicami miasta, miała okazję podziwiać niezwykle umiejętności Matta jako kierowcy.

Jednak samo wezwanie okazało się niepotrzebne. Po dotarciu na miejsce dowiedzieli się od właściciela pobliskiego sklepu z używanymi meblami, że domniemana ofiara wypadku wstała z jezdni, otrzepała się i poszła do domu. Mart i Joe podeszli do tego filozoficznie. Z uśmiechem pomachali gromadce dzieci, które zebrały się, by zobaczyć pogotowie w akcji. Na pożegnanie Mart włączył na chwilę syrenę, co wywołało entuzjazm małych gapiów.

Następne z kolei było wezwanie do chorego mężczyzny, podobno w stanie wymagającym natychmiastowej interwencji.

- Umieram! - oświadczył pacjent. Leżał w łóżku, z wilgotnym ręcznikiem na oczach.

- Raczej nie - odparł wesoło Joe. Matt wyjął ciśnieniomierz i puścił oko do Tori.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Boli mnie głowa. Bola mnie oczy. W gardle mnie

drapie. W ogóle wszystko mnie boli, a kiedy próbuję wstać, kręci mi się w głowie.

- Czy ostatnio ktoś w rodzinie chorował?

- W zeszłym tygodniu żona miała grypę, ale nie była aż taka chora.

Tori zerknęła na stojącą w drzwiach sypialni kobietę. Na ramieniu trzymała dziecko, a drugie, nieco starsze, stało obok, ściskając ją za rękę. Pewnie po prostu nie miała czasu, żeby być „aż tak chorą”.

- Był pan u lekarza pierwszego kontaktu?

- Nieee... - wyjęczał dramatycznie mężczyzna. - Jestem zbyt chory, żeby wstać z łóżka.

Jego żona westchnęła z rezygnacją.

- Ostatnio przestali jeździć na wizyty domowe. Osluchali pacjenta, zrobili EKG, wykonali test

na poziom cukru we krwi i pomiar ciśnienia - wszystkie wyniki okazały się w normie. Termometr wskazał lekko podwyższoną temperaturę.

Medyczna historia pacjenta również nie zawierała niczego niepokojącego.

- Ma pan grypę - oznajmił w końcu Joe. - Musi pan odpoczywać i przyjmować dużo płynów. Proszę wziąć aspirynę lub jakiś środek przeciw grypie i przeziębieniu, to złagodzi bóle. Zostanie pan w łóżku dzień lub dwa i na pewno pan wyzdrowieje.

- No ale... ale czy nie powinniście zabrać mnie do szpitala?

- Możemy to zrobić, jeśli pan sobie życzy - odrzekł Matt. - Znajdzie się pan na zatłoczonym, ruchliwym oddziale, na samym końcu kolejki, więc lekarz obejrzy pana być może dopiero za kilka godzin i zaraz potem

najprawdopodobniej odeśle pana do domu z takimi samymi zaleceniami, jakie my panu daliśmy. Będzie wtedy mniej więcej druga w nocy, więc straci pan kilka godzin snu. - Ton Marta stał się łagodniejszy. - Może spróbuje pan się przespać? Jeśli poczuje się pan gorzej, zawsze może pan nas wezwać.

- Mogę?

- Oczywiście. - Joe zamykał torbę. - Po to właśnie jesteśmy.

Żona chorego odprowadziła ich do drzwi.

- Bardzo przepraszam - powiedziała. - Chciałam go zawieźć do przychodni, ale był bardzo słaby. Nie dałabym rady zanieść go do samochodu.

- Męska grypa - stwierdziła Tori w drodze do bazy. - Straszna rzecz.

- Uważaj - ostrzegł ją Matt. - W tej chwili jesteś w mniejszości.

Na Tori nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- Miejmy nadzieję, że następne wezwanie będzie do kobiety. Może wtedy trafimy na poważniejszy problem...

Na kolejne wezwanie czekali dwie godziny i rzeczywiście pacjentką była kobieta, a problem okazał się naprawdę bardzo poważny.

Wezwanie nadeszło ze śródmieścia, z osiedla starych domów położonego na tyłach ulicy handlowo-przemysłowej. Pełna złych przeczuć Tori spojrzała na zaniedbany ogród, w którym stały rdzewiejące wraki samochodów. Dom wyglądał równie mało zachęcająco. Popękane szyby w oknach pokrywał brud,

zasłony wisiały w strzepach. Drzwi wejściowe stały otworem, ukazując mroczny, zaśmiecony korytarz. W powietrzu unosiła się wyraźna woń marihuany.

- Halo! Jest tam kto? Pogotowie! - zawołał Matt, wchodząc do środka. Tori mocniej objęła butlę z tlenem. Chociaż miała obok siebie dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn, lepiej się czuła, wiedząc, że ma przy sobie potencjalną broń do odparcia ewentualnego ataku.

- Halo! - zawołał Matt głośniejszym głosem. - Jest tam kto?

W drzwiach na końcu korytarza pojawił się mężczyzna. Był nagi od pasa w górę, miał rozpięte dżinsy, a jego ciało pokrywały tatuaże. Poniżej dolnej wargi błyszczał metalowy kolczyk, co nadawało jego twarzy jeszcze bardziej złowrogi wygląd. Wyjął z ust skręta z marihuaną.

- Czego tu?

- Ktoś wezwał karetkę pod ten adres. - Matt zatrzymał się i lekko cofnął. Joe również, i w ten sposób obaj zasłonili Tori, przez co łatwiej byłoby im ją obronić.

- Nikogo nie wzywałem - burknął mężczyzna.

- Ona jest na tyłach domu. - Głos kobiety dobiegł z głębi pokoju. - W garażu.

Matt odwrócił się i dotknął ramienia Tori.

- Idziemy - powiedział cicho.

Wyszli na zewnątrz, znaleźli przejście między wrakami i stanęli przed podwójnym garażem. Boczne drzwi były otwarte. Dwie nastolatki, ubrane jak wielbiciele gotyckiego rocka, siedziały na materacach tuż za progiem. Pustym wzrokiem spojrzały na przybyszy.

- Cześć. Jestem Matt, a to jest Joe i Tori. Jesteśmy z pogotowia. Czy to wyście nas wzywały?

- Tak. - Jedna z dziewczyn wskazała na drugi koniec pomieszczenia. - Chodzi o Charlene. Nie chce się obudzić.

Trzecia dziewczyna leżała na boku między dwoma materacami, na których wały się stare koce i porozrywane poduszki. Matt przewrócił ją na plecy.

- Charlene, słyszysz mnie? Otwórz oczy. Żadnej reakcji. Mimo słabego światła gołej żarówki

zwisającej z sufitu Tori dostrzegła siny odcień warg nastolatki. Joe przygotował defibrylator, potem rozciął cienką bluzę, pod którą ukazała się klatka piersiowa, wąła niczym u wygłodzonego dziecka. Matt stwierdził, że Charlene nie oddycha, więc wyjął maskę do sztucznego oddychania. Tori podłączyła ją do butli z tlenem i otworzyła zawór. Matt odchylił głowę dziewczyny do tyłu i sprawdził drożność dróg oddechowych. Następnie dwa razy wprowadził powietrze do jej płuc. Przytknął palce do szyi Charlene.

- Brak pulsu - stwierdził.

Joe tylko skinął głową i spojrzał na monitor przenośnego zestawu ratowniczego.

- Słabe migotanie komór - oznajmił ponuro. Tori rozumiała, co to znaczy. Im słabsza linia na monitorze, tym mniejsza nadzieja na przywrócenie właściwego rytmu serca i ocalenie życia pacjenta.

- Co tu się stało? - Matt skierował pytanie do dziewczyn na materacu. - Jak długo jest w takim stanie?

- Nie wiem - odrzekła jedna, wzruszając ramionami.

- Odsunąć się - polecił Joe. - Impuls dwieście dzuła.

Mart cofnął się na tyle, by nie dotykać pacjentki. Przez radio zwrócił się o wsparcie kardiologiczne.

- Poświecisz mi latarką, Tori? - poprosił. - Za chwilę będę intubował.

- Jasne.

Tori patrzyła z przerażeniem, jak Joe aplikuje pacjentce jeszcze trzy impulsy. Niestety, linia na monitorze pozostała bez zmian. Matt zaintubował dziewczynę i wszyscy troje rozpoczęli reanimację. Jednak stan chorej się nie zmieniał. Matt wyjął strzykawkę i dwie ampułki z adrenaliną.

- Ktoś mi musi powiedzieć, co tu się stało - zwrócił się do milczących koleżanek Charlene. - Być może dzięki temu uda nam się skuteczniej jej pomóc.

Jego słowa nie przyniosły żadnego efektu. Jedna z dziewczyn wybuchnęła płaczem, a druga ją objęła.

- Zostawcie ją w spokoju! - krzyknęła. - To nie wina Jamie.

Tori usłyszała, jak Matt cicho westchnął.

- Ile lat ma Charlene? - spytał.

- Piętnaście - odparła dziewczyna, która właśnie weszła do garażu.

Zniszczone spodnie od dresu i podkoszulek nie były w stanie ukryć jej przerażającej chudości. Towarzyszyła jej starsza kobieta.

- Co mogła zażyć?

Kobieta uciszyła chudą dziewczynę mocnym kuksańcem.

- Same się sobą zajmują - warknęła. - Daję im dach nad głową, żeby nie musiały spać na ulicy, i już. Nie obchodzi mnie, co tu robią.

Tori wprowadziła jeszcze więcej tlenu do płuc Charlene. Joe kontynuował masaż serca, a Matt zrobił zastrzyk z adrenaliny w nadziei, że to przywróci akcję serca.

Wokół wałały się rozrzucone puste opakowania po czipsach i butelki po napojach. Buty i ubrania leżały w nieporządnym stosach. Stare puszki służyły jako popielniczki. Wśród pudełek po papierosach i innych śmieci Tori zauważyła pojemniki po aerozolach na muchy i odświeżaczach powietrza, zmięte szmaty i plastikowe torebki. W fałdach brudnego koca, leżącego na materacu obok Charlene, również spostrzegła pojemnik po sprayu i zmiętą foliową torebkę.

- Myślę, że coś wdychała - powiedziała do Marta.

- Nie zdziwiłbym się. - Smutno potrząsnął głową, patrząc na monitor. - Wciąż słabe migotanie komór. Podam jej dożylnie dużą dawkę amiodaronu.

Przybył dodatkowy ambulans ze wsparciem medycznym, więc Tori odsunęła się, ponieważ jej udział stał się zbędny. Spojrzała na płaczące dziewczyny i na skrzywioną twarz kobiety, która przede wszystkim chciała uniknąć odpowiedzialności za to, co się stało.

Tori nieraz w szpitalu widziała efekty wdychania różnych substancji. Ten sposób narkotyzowania się jest najtańszy i najbardziej dostępny.

Nastolatki próbują uciekać od rzeczywistości, nie zdając sobie sprawy, jak niebezpieczna może się okazać nawet jedna dawka

butanu. Dla kilkudziesięciu sekund „haju” niszczą sobie komórki mózgowo, a czasem nawet umierają.

Charlene była jedną z tych, którym szczęście nie dopisało. Mimo wysiłków obu zespołów nie udało się przywrócić krążenia, akcja serca ustala całkowicie. W końcu zrezygnowano z reanimacji za jednomyślną zgodą wszystkich członków zespołów ratowniczych.

Załoga drugiego ambulansu zbierała się do odjazdu.

- Czy powiadomiono policję? Mart skinął głową.

- Zaczekamy tu na nich.

Joe i Tori w milczeniu składali sprzęt. Wyjęli rurkę z ust Charlene, usunęli elektrody defibrylatora. Mart podszedł do kobiety i dziewcząt w drugiej części garażu.

- Przykro mi - powiedział. - Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale niestety, Charlene zmarła.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Była tu nowa. I tak jej nie znałam. Mart przykucnął obok dziewczyn.

- Przykro mi - powtórzył. Mówił takim łagodnym tonem, że Tori poczuła napływające do oczu łzy. - Charlene była waszą przyjaciółką, tak?

Obie skinęły głowami. Obejmowały się mocno, tak zszokowane, że nawet nie płakały.

- Przyjedzie tu policja - ciągnął Mart. - Będą chcieli z wami porozmawiać o Charlene.

Kobieta wyrzuciła z siebie stek przekleństw, odwróciła się gwałtownie i wyszła. Chuda dziewczyna, jej towarzyszka, przez chwilę stała bez ruchu, a potem podeszła do Tori, która właśnie zamknęła oczy Charlene, a teraz przecierała jej twarz wilgotną gazą. Dziewczyna w milczeniu patrzyła na martwą nastolatkę.

- Wygląda, jakby spała - stwierdziła w końcu. Przykucnęła i przyjrzała się dokładniej bladej, nieruchomej twarzy. - Nie jest już smutna. Szczęściara, nie?

Tori podniosła wzrok, zaniepokojona nutą zazdrości w głosie dziewczyny. Jak bardzo musi być nieszczęśliwa, skoro uważa, że jej martwa koleżanka ma szczęście? Dziewczyna wyglądała na anorektyczkę. Świadczyły o tym napięta skóra na nienaturalnie postarzałej twarzy, wystające obojczyki i chude jak patyki ramiona. Twarz miała w wielu miejscach poprzekłowaną - trzy kolczyki błyszczały w łuku brwiowym, jeden w nozdrzu. Jedną część głowy miała wygoloną, a na drugiej dredy różnej długości. Dwa przednie zęby były złamane. Kiedy Tori spojrzała jej w oczy, przeżyła wstrząs, większy nawet od tego, który spowodowała śmierć Charlene.

- Monique! - wyszeptała.

Po minie dziewczyny było widać, że też ją rozpoznała.

- Jesteś Monique, prawda? Pamiętasz mnie? To ja. Tori.

Monique wzruszyła ramionami.

- Jesteś Tori. I co z tego?

Mart wrócił, by pomóc w składaniu sprzętu. Nie zdziwił się, że Tori zna dziewczynę, ponieważ podejrzewał, że spotkały się w szpitalu. Na nagich, chudych ramionach wyraźnie widać było ślady po ukłuciach.

Monique była narkomanką. Nagle Tori poczuła, że nie wytrzyma dłużej beznadziejnej atmosfery tego miejsca. Wstała i sięgnęła po zestaw reanimacyjny i butlę z tlenem.

- Zaniosę to do karetki.

Policyjny radiowóz zatrzymał się obok ambulansu.

- Dziewczyna jest za domem, w garażu - Tori powiadomiła policjantów.

Poprowadziła ich na miejsce, po drodze odpowiadając na pytania. - Ma piętnaście lat. Nazywa się Charlene. Nie podano nam jej nazwiska. Zdaje się, że w garażu mieszka cała grupa nastolatek.

- Czy na miejscu wypadku znaleźliście coś podejrzanego?

Tori potrząsnęła głową.

- Raczej nie. Dziewczyna leżała na podłodze, obok materaca. Jest tam mnóstwo dowodów na to, że ona i jej koleżanki wdychały substancje chemiczne.

Matt udzielił im dalszych informacji.

- Musiała stracić przytomność na długo przed naszym przyjazdem. Przed nami nikt nie próbował jej ratować. Nasza walka od początku była skazana na niepowodzenie.

Starszy stopniem policjant, świecąc latarką, obejrzał ciało.

- Nie ma oznak obrażeń zewnętrznych?

- Nie.

W świetle latarki ukazał się pojemnik ze środkiem owadobójczym.

- Czy to by wystarczyło, żeby ją zabić? Matt skinął głową.

- Bardzo prawdopodobne. Propelentem jest tu butan, czyli substancja dusząca. Wdychanie gazu nie zawierającego w ogóle tlenu może spowodować utratę przytomności i śmierć. Toksyne zaburzają rytm serca, powodując śmiertelną arytmie. Policjant spojrział na Monique.

- Czy to właśnie robiła Charlene? Dziewczyna wzruszyła chudymi ramionami.

- Często to robimy. Od tego się nie umiera.
- Czasami jednak tak - odrzekł surowo Matt. - To się może zdarzyć i za pierwszym razem. Albo za kolejnym, kiedy zażyjesz tylko odrobinę więcej niż ostatnio.

Tori spostrzegła błysk strachu w pozbawionych dotąd wyrazu oczach Monique. Jednak dziewczyna szybko przybrała obojętną minę.

- No i co z tego? - oświadczyła arogancko, ukrywając lęk. - Kogo to obchodzi?

Tori z ulgą opuściła to miejsce, jednak nie mogła zapomnieć wydarzeń, które tam zaszły. Każdy szczegół przewijał się przed jej oczami, nawet kiedy wezwano ich do dwóch kolejnych pacjentów.

Nad ranem Joe wykorzystał dłuższą chwilę spokoju, ułożył się na jednej z kanap w pokoju dla personelu i zasnął. Matt zrobił dwie filiżanki kawy i usiadł przy stole obok Tori.

- Jesteś taka milcząca - zauważył. - Masz ochotę porozmawiać z wujkiem Mattem?

Tori przywołała na twarz uśmiech.

- Wszystko w porządku.
- To nie było miłe. - Oboje wiedzieli, o którym

- wezwaniu mówi. - Mam nadzieję, że nie zniechęciło cię do pracy u nas?
- Widywałam już takie przypadki - przyznała - tylko poza szpitalem wygląda to zupełnie inaczej. Jakoś tak... bardziej prawdziwie. Nikt ich do nas nie przywozi. To my wkraczamy w życie takich dziewczyn, do ich domów.
 - Jeśli ten garaż można nazwać domem.
 - Chyba to mnie najbardziej poruszyło. Oczywiście przejęłam się śmiercią Charlene, ale przede wszystkim mam poczucie winy, że nie mogliśmy pomóc tym dziewczynom.
 - Policja na pewno sprowadzi tam opiekę społeczną. Dziewczyny pewnie wrócą do swoich rodzin. Chyba są niepełnoletnie.
 - To im raczej nie pomoże - ze smutkiem stwierdziła Tori. - Przecież istnieje jakiś powód, dla którego wylądowały na ulicy, prawda?
 - Nie obwiniaj się - poprosił łagodnie Mart. - Jesteś dla siebie za surowa. Żebyśmy nie wiem jak się starali, świata nie zbawimy.
 - Ale ja nawet nie spróbowałam... Nie mogła powstrzymać łez.
 - No... - Matt przysunął krzesło bliżej i objął ją ramieniem. - O co chodzi, Tori? Co cię tak poruszyło?
 - Monique.
 - Ta chuda dziewczyna?
 - Kiedyś nie była taka chuda. Osiem lat temu była naprawdę ładna.
 - Znałaś ją osiem lat temu? - zdziwił się. Tori wytarła łzy z policzków.

- Przez jakiś czas z nami mieszkała. Moja mama chciała zbawić świat. A przynajmniej tak wiele nieszczęśliwych istot, ile tylko mogła. Po śmierci ojca, kiedy miałam dwa lata, zaczęła przyjmować dzieci jako rodzina zastępcza.

Matt uściśnął ją lekko i cofnął ramię.

- Wypij kawę - polecił. - i opowiedz mi wszystko.

- Przypadek Monique to była porażka - odrzekła. - Mieszkała z nami jakieś trzy miesiące. Kradła, przeklinała, wagarowała. Co kilka dni uciekała z domu.

Tori wzięła kubek, ale nie uniosła go do ust.

- Nienawidziłam jej - wyznała. - Nazwała moją mamę głupią dziwką. Podrapała Sarę do krwi. Ukradła mi wszystkie kosmetyki i zabierała mi ubrania. Chciała nawet poderwać mojego chłopaka, a przecież miała wtedy dwanaście lat! - Tori potrząsnęła głową. - Mama poddała się dopiero, kiedy Monique spróbowała podpalić dom. Zabrała ją opieka społeczna. Monique była wściekła.

Tori zamilkła. Matt nie odezwał się, więc po chwili mówiła dalej:

- Może wiedziała, jak skończy, jeśli nikomu nie będzie na niej zależało. Ja w ogóle o tym nie myślałam, po prostu chciałam, żeby zniknęła z naszego życia. - Podniosła wzrok i dostrzegła w oczach Marta zrozumienie i współczucie.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Szesnaście. Prawie siedemnaście.

- Nadal byłaś dzieckiem. Nie możesz się zadrećzać tym, że byłaś normalna. Większość dorosłych zareago-

wałaby w ten sam sposób. - Matt uśmiechnął się. -Twoja mama jest wyjątkową kobietą.

- Była. Zmarła w zeszłym roku. - Tori musiała odwrócić wzrok, by znów nie zacząć płakać. - Ja bym tak nie mogła. Chociaż Kocham Sarę jak rodzoną siostrę, nie mogłabym zrobić tego co mama. Jeśli kiedykolwiek będę mieć dzieci, to tylko swoje. Stworzę prawdziwą rodzinę, a nie jakiś twór zlepiony z niepasujących do siebie elementów. Zawsze któryś z tych elementów, dobrany na siłę, rozbije to, co w takiej rodzinie już zostało zbudowane.

Natychmiast zdała sobie sprawę, jak zabrzmiały jej słowa, i przygryzła wargę.

- Przepraszam, Matt. Nie pomyślałam, co mówię. Nie chciałam...

- Nie szkodzi - przerwał jej. - Rozumiem.

I rzeczywiście ją rozumiał. Poznała to po jego oczach. Mimo to czuła się winna i bała się, że go zraniła, a tego na pewno nie chciała zrobić.

- Mama rzeczywiście była niezwykła. A Sara potrafi przyjmować i dawać miłość. Tak jak ty, Matt. Naprawdę podziwiam to, co robisz dla siostrzeńców. Wiesz co?

- No?

- Jesteś najmiłszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Patrzyła na niego ze szczerym podziwem. Ich oczy spotkały się na kilka sekund i Tori miała wrażenie, że przepływa między nimi jakiś ciepły prąd, tak silny, że mógł być tylko miłością. Oczywiście nie taką zwykłą miłością, połączoną z zakochaniem się. To było coś

innego, głębszego. Bardziej przypominało uczucie, jakie żywiła do mamy i do Sary - więź silniejszą od przyjaźni.

Matt pierwszy odwrócił wzrok i potrząsnął głową.

- Nie jestem jakimś świętym-powiedział. -Zrobiłem to, co trzeba było zrobić, i tyle. I wiem, co musiałaś przeżyć. Sam przechodzę trudne chwile, kiedy mam wszystkiego dosyć. Czasami chciałbym machnąć czarodziejską różdżką, żeby to zniknęło. Chciałbym mieć swoje własne życie - dodał cicho.

Kawa w kubkach wystygła, ale żadne z nich nie zwróciło na to uwagi.

Siedzieli przy stole, oddzieleni od reszty świata kręgiem światła lampy.

Joe pochrapywał na kanapie, ich ściszone głosy mu nie przeszkadzały.

- Ale czasami - mówił dalej Matt - kiedy spotykam się z taką sytuacją jak dziś, to utwierdzam się w przekonaniu, że postąpiłem słusznie. Gdybym nie zajął się dziećmi, wylądowałyby w rodzinach zastępczych, pewnie by je rozdzielono. Hayley ma piętnaście lat, tyle samo co Charlene. To typowa wiecznie obrażona nastolatka. Ją najbardziej dotknęła śmierć rodziców. Pokrywa rozpacz nadaśanymi minami i nieprzyjemnym sposobem bycia, ale wiem, że w głębi duszy obwinia się za ten fatalny wypadek i uważa, że to ona powinna się zająć rodzeństwem. A tego oczywiście nie jest w stanie zrobić.

- Dlaczego się obwinia?

- Tego dnia pokłóciła się z rodzicami. Ktoś ją zaprosił na jakąś imprezę i chciała się wykręcić od opieki nad rodzeństwem, choć wcześniej się zgodziła.

Jane i Graeme za późno wyjechali z domu na spotkanie i pewnie przekroczyli dozwoloną prędkość. Tamtego wieczoru, jak to bywa w styczniu w Londynie, gdzieś padała zamarzająca mżawka. Warunki na autostradzie musiały być fatalne.

- Jane to twoja siostra? Mart skinął głową.

- Szesnaście lat starsza. - Uśmiechnął się. - Byłem późnym dzieckiem. Mam trzydzieści dwa lata, ale rodzice przekroczyli już siedemdziesiątkę. Nadal są sprawni i zdrowi, sami zajęliby się dziećmi, ale byłoby to dla nich zbyt duże obciążenie. A poza tym jestem bardziej z nimi związany.

- Jak długo mieszkałeś w Anglii?

- Trochę ponad jedenaście lat. Wyjechałem, kiedy zdobyłem dyplom na wydziale nauk ścisłych i zamieszkałem z Jane i Graeme'em. Hayley miała wtedy dopiero trzy lata, a jej brat Charles był niemowlęciem. Pięć lat później urodziły się bliźniaki, więc praktycznie znam je od kołyski.

- Wtedy jeszcze mieszkałeś z rodziną siostry?

- O nie. Zdążyłem już się usamodzielnic, miałem własne mieszkanie i pracę, a nawet narzeczoną, Sandrę. Nadal jednak dużo czasu spędzałem z siostrą, jej mężem i dziećmi. Byli tacy szczęśliwi. Właśnie taką rodzinę pragnąłem założyć i sądziłem, że Sandra również. Przyszłość rysowała się przede mną jasno i wyraźnie.

Tori poczuła przelotną niechęć do kobiety, która, jak jej kiedyś powiedział Matt, kazała mu wybierać między sobą a osieroconymi dziećmi siostry. Zaraz

jednak ze wstydem zdała sobie sprawę, że ona też pewnie nie chciałaby się angażować w wychowywanie cudzych dzieci. Zadziwiająco, że Matt w ogóle chce się z nią przyjaźnić. Może dlatego, że od samego początku znajomości zna jej pogląd na tę sprawę. Matt w ogóle jest niezwykły.

- Jeszcze kogoś znajdziesz. Kogoś, kto doceni, jaki jesteś wspaniały. Tak jak ona go docenia?

- Może... - Matt parsknął z powątpiewaniem. Kiedy dzieci opuszczą już dom, a ja będę siwym staruszkiem.

- Rodzicie ci nie pomagają? Na pewno od czasu do czasu mógłbyś wyrwać się na randkę.

- Oczywiście, że tak. Prawdę mówiąc, nie dawniej niż wczoraj dostałem propozycję od pielęgniarki z twojego oddziału. Od tej z czarnymi włosami i nieco przesadzonym makijażem.

- Maureen - rzekła ponuro Tori. Starła się stłumić w sobie zazdrość, jeszcze bardziej niewytłumaczalną niż niechęć do Sandry. Nagle pojaśniała. - Rozumiem, że nie przyjąłeś tej propozycji?

- Jasne, że nie - odparł. - Nie szukam seksu bez zobowiązań. To zabrzmiało jak oklepana kwestia z romantycznego filmu, ale chodzi mi chyba o to samo co tobie. Chcę znaleźć pokrewną duszę i założyć rodzinę.

Oboje zamilkli. Jasne było, że dla Marta spełnienie tego bardzo naturalnego marzenia okaże się trudne. Tori miała większe szanse, ale ta świadomość wcale nie poprawiła jej humoru, a jedynie spowodowała przyływ poczucia winy.

- Musisz więcej wychodzić - stwierdziła. - Tylko w ten sposób możesz kogoś poznać. Ja też muszę więcej wychodzić. Odkąd zmarła mama, a Sara wyjechała, nie udzielam się towarzysko. Kiedyś musimy się umówić i zaszaleć.

Matt nie wyglądał na przekonanego.

- Dawno już nigdzie nie byłem. Noc spędzona na wędrówkach z jednego klubu do drugiego pewnie by mnie dobiła.

Tori nagle przypomniała sobie minione wydarzenia i ten pomysł na wspólną zabawę wydał jej się w tym momencie niestosowny.

- A może tak naprawdę potrzebujesz urlopu? - myślała głośno. - Co powiedziałbyś na kilkudniowy wyjazd?

- Samotne wakacje nigdy nie wydawały mi się atrakcyjne.

- To jedź z kimś znajomym.

- Jeszcze nie zdążyłem tu poznać ludzi. Z wyjątkiem matek, które odbierają dzieci ze szkoły o tej samej porze co ja.

- Lepiej uważaj - ostrzegła go. - Możesz skończyć z ósemką dzieci, a nie z czwórką.

- Wypluj te słowa! - zawołał rozbawiony. - Mógłbym zaprosić Joego, ale to pewnie wywołałoby zdziwienie. - Zamyślił się. - Jak nie znajdę wyjścia, to może zaproponuję wspólny wyjazd Maureen.

Tori ze współczuciem potrząsnęła głową.

- Masz w domu wiele obowiązków, prawda? Przydałby ci się wyjazd z kimś, kto niczego nie będzie od ciebie oczekiwał.

- Może masz rację. Czasami powinienem sobie pozwolić na więcej egoizmu, wziąć kilka dni wolnego. Jak myślisz, gdzie mógłbym pojechać?

- Nawet nie muszę się zastanawiać - oznajmiła uradowana. - Znam takie miejsce.

Pomysł wyklarował się w jej głowie w ciągu jednej sekundy. Pochyliła się do Marta i rzekła uwodzicielskim tonem:

- Co powiesz na prywatną tropikalną wyspę? Słońce, złota plaża, ciepły, błękitny ocean? Dodaj do tego dobrą zabawę i szampana...

Matt roześmiał się.

- Jasne! Ale ja nie wierzę w czary.

- Nie żartuję - odrzekła poważnie. - Za trzy tygodnie wybieram się na ślub Sary. Przysłali mi dwa bilety, żebym mogła zabrać osobę towarzyszącą. Ben jest właścicielem całej wyspy i znajdzie się tam mnóstwo miejsca dla gości.

- Czy Sara wie, że próbowałaś mnie z nią skojarzyć podczas tego kursu ratownictwa?

- Nieważne. - Tori uśmiechnęła się figlarnie. - Ja próbowałam kiedyś poderwać Bena, więc jesteśmy kwita.

- Nie ma mowy! Nie mieszam się w żadne siostrzane współzawodnictwo.

- Daj spokój, Matt! Fajnie będzie! I właśnie tego ci potrzeba. Weekend z kimś znajomym. Żadnych zobowiązań. Po prostu będziemy się dobrze bawić.

Widziała, że jej wysiłki nie odnoszą skutku.

- Będę się tam czuła trochę samotna i opuszczona - wyznała cicho. - W końcu to moja siostra wychodzi

za mąż. Przydałby mi się przyjaciel, który by mnie pocieszył.

Matt już się nie uśmiechał, tylko patrzył na nią z namysłem. Oboje podskoczyli, gdy odezwał się jego pager.

- Bóle w klatce piersiowej - odczytał wiadomość. Joe poruszył się na kanapie i jęknął głośno. Matt odsunął krzesło i wstał.

- Pilne wezwanie. - Zwrócił się do Tori: - Jedziesz?

Uśmiechnęła się chytrze.

- Właśnie miałam ci zadać to samo pytanie w związku ze ślubem Sary. Może oboje powiemy „tak”?

- Muszę się zastanowić.

- Zgódź się i już - wymamrotał Joe, ziewając. - Nie warto za wiele myśleć. Zwłaszcza w środku nocy.

- Może i masz rację. - Matt podążył za nim do karetki. - Nie mogę obiecać na pewno - rzekł, patrząc na Tori - ale postaram się pojechać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Oczywiście, że powinieneś jechać, kochanie.

- Hm... Być może.

Linda Buchanan nabrała łyżką kolejną porcję ciasta.

- Nie możesz pozwolić, żeby dzieci zabrały ci każdą wolną chwilę życia.

To nikomu dobrze nie zrobi.

Wyłożyła porcję na blachę i uśmiechnęła się do syna, ale zmarszczka między brwiami świadczyła, że coś ją martwi.

- Mizernie wyglądasz. Jesteś pewien, że nie potrzebujesz pomocy?

- Ostatni tydzień był bardzo ciężki, ale to wszystko. Nic mi nie jest. -

Sięgnął po porcję surowego ciasta.

Linda cmoknęła niecierpliwie i żartobliwie udała, że chce wymierzyć mu klapsa.

- A myślałam, że jak zabronię dzieciom wchodzić do kuchni, to nikt mi tu nie będzie psocił - rzekła ze śmiechem.

Oboje spojrzeli przez okno nad zlewem. Bob Buchanan schodził właśnie z drabiny, przymocowawszy na ścianie garażu kosz do gry w koszykówkę. Siedmioletnie bliźniaki Bonnie i Jack skakały z radości, trzymając w rękach nowe pomarańczowe piłki. Jack już nie mógł się doczekać i rzucił swoją do kosza. Piłka nie

trafiła i uderzyła dziadka w skroń. Drabina zakołysała się niebezpiecznie. Linda jęknęła, a wystraszone bliźniaki zamarły w bezruchu. Na szczęście Bob bezpiecznie zszedł na ziemię i tylko się roześmiał. Złożył drabinę i oparł ją o płot.

- Nieźle urwisy - wymamrotała czule Linda. - Nie wiem, skąd biorą tyle energii.

- Pewnie zabierają ją Hayley i Charlesowi. Jeśli nie trzeba iść do szkoły, Hayley trudno wyciągnąć z łóżka przed jedenastą. A jeśli już wstanie, to spędza cały dzień na kanapie, oglądając telewizję albo słuchając muzyki. Linda podążyła za wzrokiem Matta i spojrzała na Hayley przez okno łączące kuchnię z salonem. Dziewczyna leżała na kanapie, na uszach miała słuchawki i przeglądała jakiś magazyn. Dwunastoletni Charles rozłożył się na podłodze i składał plastikowy szkielet, którego fragmenty dołączano do czasopisma przyrodniczego. Mart zerknął na Hayley i westchnął.

Na blasze do pieczenia pojawiły się kolejne ciastka.

- Pozwól częściej sobie pomagać, Mart. Nie podoba mi się, że nie dosypiasz po nocnej zmianie.

- Kładę się spać, kiedy wyprawię dzieci do szkoły.

- Wczoraj było inaczej.

- Mam nadzieję, że to się nie powtórzy. Porozmawiałem z Hayley poważnie. A poza tym sędzę, że wezwanie do szkoły opiekuna, żeby ją zabrał do domu, wystarczająco ją zawstydziło i dało jej nauczkę na przyszłość.

- Powinieneś być do mnie zadzwonić. Pojechałabym.

- I tak bardzo mi pomagasz. I ty, i tata. Bez was nie dałbym sobie rady.

Tym razem westchnęła Linda.

- Ale w tak młodym wieku nie powinieneś mieć takich obowiązków. W dodatku musisz sam się z nimi borykać.

- To chyba lepiej, że nie ożeniłem się młodo i nie założyłem własnej rodziny. Niewiele par poradziłoby sobie z czwórką dodatkowych dzieci.

- Zawsze możesz zatrudnić opiekunkę. W funduszu powierniczym dzieci jest niezła sumka, zwłaszcza po sprzedaży domu Jane i Graeme'a.

- Tu nie chodzi o pieniądze. Dzieci zostały brutalnie wyrwane ze swojego świata. Ja jestem jedynym elementem, który je łączy z przeszłością i zapewnia ciągłość. Nie chcę ich tego pozbawiać, zanim nie przywykną do nowej sytuacji. Dlatego właśnie się waham, czy wyjechać na ten weekend. Mam wrażenie, że sama wzmianka o tym spowodowała wczorajsze zachowanie Hayley w szkole.

- Nie mogę uwierzyć, że zwymyślała nauczyciela! - Linda potrząsnęła głową. - Przecież chodzi tylko o weekend. Dobrze ci to zrobi. Twój tata i ja damy sobie radę. I widzę, że dzieciom całkiem się u nas podoba.

Zza okna dochodziły radosne okrzyki i piski, a Bob CO chwila musiał wyprawiać się do ogródka sąsiadów, by odzyskać wrzucone tam pomarańczowe piłki.

- Gdyby dzieci nadal mieszkały w Londynie, prawie byśmy ich nie znali. Odwiedzalibyśmy je najwyżej raz lub dwa w roku. Pod pewnym względem taki rozwój zdarzeń to dla nas szczęście. - Wzięła widelec,

by nadać nim kształt surowym ciastkom na blasze. -Przypomnij mi, czyj to ślub?

- Sary. To pielęgniarka, którą poznałem w zeszłym roku. Brała udział w prowadzonym przeze mnie kursie. Właściwie bliżej znam jej siostrę, Tori. Jest pielęgniarką na oddziale ratowniczym, ale kilka razy jeździła z nami w pogotowiu. Zdaje się, że poważnie myśli o tym, żeby się przenieść do nas.

- Tori to niezwykle imię.

- Skrót od Victorii. - Matt uśmiechnął się mimo woli. - Victoria w ogóle do niej nie pasuje. Wcale nie przypomina surowej królowej. To wesoła, dowcipna dziewczyna.

- Doprawdy? - Linda zerknęła na niego znacząco.

- Jesteśmy przyjaciółmi, mamó. Nie ma szans na więcej.

- Aha.

Nie po raz pierwszy słyszał rozczarowanie w głosie matki. Mart udał, że z uwagą przygląda się bliźniakom, by uniknąć szczegółowych wyjaśnień. Matka i tak zamartwiała się, że opieka nad czwórką dzieci ma fatalny wpływ na jego życie. Dobrze wiedział, że kiedy bardzo się czymś przejmowała, odbijało się to na jej zdrowiu. Nie mógł jej wyjawic, że często ma dość wszystkiego.

Linda wsunęła blachę z ciasteczkami do piekarnika i zajęła się przygotowaniem warzyw na kolację.

- Może ja to zrobię, a ty idź odpocząć.

- Za kilka minut muszę wyjąć ciasteczka z piekarnika.

- Ja też to potrafię.

- A potem trzeba włożyć tam mięso do pieczenia.
- To również potrafię. Idź sobie. Sio! - Uśmiech Marta sprawił, że ta komenda zabrzmiała bardzo miło. - Charles nie może się doczekać, żeby ci pokazać składany szkielet. I kto wie, może Hayley się odezwie?
- Obieranie warzyw nie oderwało myśli Marta od rozważań nad rozczarowaniem, jakie usłyszał w głosie matki. Rok temu, kiedy poznał Victorię Preston, zareagowała podobnie.
- Pierwszy raz zobaczył ją w pokoju pielęgniarstwie oddziału ratunkowego szpitala Royal North Shore, pochłoniętą ożywioną rozmową z kolegami i koleżankami. Mimo nogi w sztywnym opatrunku i kul, opartych o ścianę nieopodal, Tori emanowała energią i radością życia. Jasne loki kołysały się, kiedy wybuchała śmiechem, a niebieskie oczy błyszczały figlarnie. Taki sam entuzjazm wykazywał Charles, pokazując babci swój model szkieletu z czasopisma przyrodniczego.
- Są różne rodzaje stawów - opowiadał z przejęciem. - Na przykład możemy kręcić głową, bo jest umieszczona na stawie obrotowym.
- Aha... - Ton głosu jego siostry wyraźnie świadczył o niezadowoleniu z tego, że uwaga babci skupia się na młodszym bracie. - Twoja głowa na pewno może obracać się o trzysta sześćdziesiąt stopni, tak jak w „Egzorcystach”.
- To były efekty specjalne - z wyższością odrzekł Charles. - W rzeczywistości to niemożliwe.
- Oczywiście, że nie - potwierdziła Linda.

- Bardzo ciekawe - warknęła Hayley wrogo i upuściła pismo na podłogę. Posłała Mattowi spojrzenie, które mówiło, że to przez niego jej życie jest takie nieudane.

Matt uśmiechnął się do siostrzenicy.

- Jeśli się nudzisz, to znajdę ci jakieś zajęcie.

- Nie nudzę się. - Wyjęła z kieszeni džinsów telefon komórkowy i zawzięcie zaczęła wystukiwać SMS-a.

Matt przystąpił do obierania kolejnego ziemniaka, skrywając uśmiech.

Przynajmniej Hayley miała teraz kilkoro przyjaciół. Z trudem ukryła radość z otrzymania telefonu. Chociaż pokrywała niską samoocenę i nieśmiałość aroganckim zachowaniem, Matt dobrze wiedział, że bardzo zależy jej na nawiązaniu nowych przyjaźni. A możliwość komunikacji ze znajomymi jest podstawą utrzymywania stosunków towarzyskich.

Jego myśli powędrowały z powrotem do Tori i ich pierwszego spotkania. Matt wątpił, czy jako nastolatka miała problemy z nieśmiałością. Może to jej otwartość i bezpośredniość tak go ku niej przyciągnęła?

A może to coś innego sprawiło, że od samego początku odnosił się do niej tak, jakby znali się od lat? Mogli ze sobą rozmawiać o wszystkim. Bez wahania zwierzył jej się, z jakim trudem rozpoczyna nowe życie i jak wiele kosztuje go uniesienie niespodziewanego brzemienia odpowiedzialności za czworo dzieci. Praktycznie wypłakał się jej na ramieniu po stracie narzeczonej, która go porzuciła, kiedy nie chciał zrezygnować z opieki nad czwórką siostrzeńców.

Do całej sytuacji odniosła się ze zrozumieniem, ale

współczuła raczej Sandrze niż jemu. Przyznała, że konieczność opieki nad gromadką dzieci jej również wydałaby się koszmarem. Matt pamiętał, jak bardzo go to wyznanie wówczas rozczarowało. Fakt, że adoptowana czwórka uniemożliwiła mu związek z pociągającą go kobietą, przyczynił się do narastającego zmęczenia problemami rodzinnymi.

Stłumił jednak negatywne uczucia. Dokonał wyboru, i był to wybór słuszny. Tori jasno dała mu do zrozumienia, że nie jest nim zainteresowana, a nawet usiłowała wręcz wepchnąć go w ramiona siostry. Sara była ładna i sympatyczna, ale między nimi nie zaiskrzyło. Zresztą na tym etapie życia nie mógł sobie pozwolić na żadne iskry. Dzieci potrzebowały stabilizacji, czasu, by pogodzić się z tragedią. Hayley weszła w bardzo trudny wiek. Bliźniaki zaakceptowałyby każdą nową osobę, która okazałaby im miłość. Charles z początku zachowywałby dystans i analizował sytuację, ale odpowiednia osoba na pewno zdobyłaby jego sympatię i lojalność. Z Hayley sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej i Matt bał się nawet o tym myśleć.

Znieruchomiał na chwilę, widząc ojca wchodzącego do domu. Hayley odsunęła się, kiedy poklepał ją po ramieniu, ale jej wzrok zazdrośnie śledził ruchy dziadka, gdy ten zmierzwił włosy jej brata i przykucnął, by obejrzeć model szkieletu.

Matt rozumiał, jak sprzeczne uczucia miotają siostrzenicą. Z jednej strony odpychała ludzi od siebie, by utwierdzić się w poczuciu niezależności, z drugiej pragnęła powrotu do bezpiecznego świata dzieciństwa i miłości. Matt widział to i pękało mu serce. Przysiągł

sobie, że nie pozwoli, by aroganckie zachowanie Hayley przesłoniło mu jej prawdziwe oblicze. Dziewczyna potrzebowała go bardziej niż pozostałe dzieci. Musi poświęcić jej wiele uwagi, a związek z kobietą by to uniemożliwił.

Myślami znów wrócił do Tori i do ostatnich wydarzeń w pracy. Przypomniał mu się mroczny, brudny garaż i rozgrywająca się tam tragedia. Czy trzeba wiele, by Hayley weszła na ścieżkę, którą przemierzyła Charlene?

- Matt, coś się pali! - Linda szybko wstała z podłogi. - Wyjąłeś ciastka z piekarnika?

- Ojej! Zapomniałem! - Rzucił obieraczkę, chwycił kuchenną rękawicę, ale było już za późno.

Ciasteczka z kawałkami czekolady poczerniały na brzegach i właśnie zaczynały dymić. Gdy wyjął je z piekarnika, włączył się alarm przeciwpożarowy. Linda otworzyła okna, a Bob machał rękami, by rozpędzić dym i uciszyć wyjąca syrenę. Charles przyglądał się temu przedstawieniu z otwartymi ze zdumienia ustami, natomiast Hayley podniosła czasopismo, wstała z kanapy i wyszła, trzaskając głośno drzwiami.

- Przepraszam, mamo.

- Nie szkodzi.

- Wujku! Wujku!

Z podwórka dobiegł pełen bólu krzyk. Matt rzucił rękawicę i podbiegł do okna. Jack leżał na ziemi obok przewróconej drabiny. Matt w ułamku sekundy znalazł się na zewnątrz. Za nim wybiegła Linda.

- Co się stało?

- Jack wszedł na drabinę, żeby łatwiej wcelować do kosza, ale zleciał! - oznajmiła Bonnie.

- Co cię boli? - zapytał z niepokojem Matt, kucając obok chłopca.

- Ręka. Auu!

Przybiegł Bob, nadal ze ścierką w ręku, a za nim pojawiła się Hayley.

- Wszystko będzie dobrze - uspokajał dziecko Matt, nie dając mu usiąść. - Uderzyłeś się w głowę?

- N...nie.

- Muszę obmacać ci kark i szyję. Czy to boli?

- Nie. Auu! Moja ręka!

Jej dziwne ułożenie świadczyło o tym, że jest złamana. Matt rozpoczął akcję.

- Hayley, pożyczysz mi swoje pismo?

- A po co?

- Zaraz zobaczysz. Tato, potrzebna mi jest ta ścierka. Charles, przynieś apteczkę z mojego samochodu i poszukaj w niej bandaża, dobrze?

Zwinął ścierkę w rulon i użył jej do podtrzymania złamanej kończyny Jacka. Zrolował pismo wokół przedramienia dziecka, tak że utworzyło namiastkę gipsu, i przymocował je bandażem. Zbadał chłopcu puls i ukrwienie w palcach złamanej ręki. Potem uśmiechnął się do siostrzeńca.

- Teraz trochę lepiej?

- Dalej boli.

- Wiem. Musimy cię zabrać do szpitala. Bonnie wybuchnęła płaczem, a Charles pociągnął

Matta za rękaw.

- Czy ja też mogę jechać? Bardzo proszę.

- Jasne. - Matt zauważył zaniepokojoną minę chłopca. - Jack złamał kość łokciową czy promieniową?

- zapytał poważnie.

- Może obie? - Charles z namysłem zagryzł wargę.

- Nic mu nie będzie, prawda?

- Jasne, że nie. - Matt wziął Jacka na ręce. Chłopiec poblądł i zachowywał się nienaturalnie spokojnie.

Bonnie ze szlochem przytuliła się do babci.

- Wujku, nie zabieraj go! Nie zabieraj!

Matt napotkał spojrzenie matki i oboje skinęli głowami. Bonnie też powinna jechać. Zostawienie jej w domu, gdzie cały czas zastanawiała się, czy brat wróci ze szpitala, byłoby zwykłym okrucieństwem.

- Wyłączę piecyk - powiedział Bob. - Wydaje mi się, że wszyscy powinniśmy jechać.

- Po co? - Hayley spojrzała gniewnie na Jacka.

- To tylko złamana ręka.

- Jesteśmy rodziną - odrzekł Matt. - Gdybyś to ty coś sobie złamała, chciałabyś, żebyśmy się tobą zajęli, prawda?

- Ja nie jestem taka głupia, żeby spaść z drabiny

- burknęła Hayley, ale wsiadła do samochodu Marta.

- Chyba muszę jechać, jeśli nie chcę stracić tego pisma.

- Czy Auckland Central nie leży bliżej? - zapytała Linda, kiedy Matt skręcił w drogę do mostu.

- Owszem, ale w Royal North mam znajomych. W każdym innym szpitalu pięć osób towarzyszących pacjentowi wywoła protesty. Poza tym, dziś jest sobota. Nie ma dużego ruchu.

Matt nie przyznałby się przed nikim, nawet przed samym sobą, że o wyborze szpitala zdecydowała

przede wszystkim potrzeba zobaczenia Tori. Pewnie nawet nie ma dziś dyżuru, ale jeśli pracuje, jej uśmiech będzie promieniem słońca rozjaśniającym jego dni, ostatnio bardzo ponure.

Złamana ręka Jacka była kulminacyjnym punktem wyjątkowo trudnego tygodnia. W pracy przeżywał ciężkie chwile, ale kłopoty domowe były o wiele trudniejsze. Charlesa rozboleł ząb, i musiał opuścić lekcję gry na gitarze. Ponieważ do muzyki podchodził z równym zapałem jak do nauki anatomii, bardzo to przeżył. W dodatku kolejka do dentysty była tego dnia wyjątkowo długa, a leczenie okazało się bolesne. Chłody i deszcz sprawiły, że bliźniaki częściej musiały przebywać w domu, więc z nudów nieustannie się kłóciły. Na dodatek Hayley narobiła sobie kłopotów w szkole, a Matt ciągle nie dosypiał po nocnych dyżurach.

A teraz złamana ręka Jacka.

Matt bardzo potrzebował w tej chwili przyjaciela. A właściwie brakowało mu Tori. Chciał jej opowiedzieć o tym koszmarnym tygodniu, pożartować trochę na ten temat, usłyszeć jej śmiech i wiedzieć, że za beztroską miną kryje się prawdziwe zrozumienie i współczucie. Nie mógł zdradzić rodzicom, jak bardzo go to wszystko wyczerpuje. Przecież ma trzydzieści dwa lata, nie powinien oczekiwać od nich pocieszenia. Gdyby nie obracał wszystkiego w żart, musiałby się rozpłakać, ale czy płacz by mu pomógł?

Gdy zobaczył Tori stojącą obok siostry dyżurnej, zdał sobie sprawę, jak bardzo tęsknił za jej towarzystwem. Na jego widok oczy Tori rozszerzyły się ze zdumienia.

- Mart! Na litość boską, co się stało?
 - Jack złamał rękę. Spadł z drabiny.
 - O nie! - Tori odsunęła jasny lok z czoła chłopca, którego Matt trzymał na rękach. - Boli cię, skarbie?
 - Taaak.
 - Jesteś bardzo dzielny - odrzekła z uśmiechem.
 - Jack, to jest Tori. - Matt starał się zignorować zaciekawioną minę Lindy, stojącej obok z Bonnie. - Jeśli dopisze nam szczęście, będzie się mogła tobą zaopiekować.
 - Wujek Matt się mną opiekuje - oznajmił Jack.
 - Ależ oczywiście. - Tori skinęła głową. - Ale ja mogę pomóc, prawda? - Jack doszedł do wniosku, że jej uśmiech może przełamać wszelkie lody. - Erin, ja się zajmę tym pacjentem, dobrze? - Spojrzała na Lindę. - Pani Buchanan, babcia Jacka, prawda?
 - Jestem Linda. - Uśmiech Tori najwyraźniej podziałał również na panią Buchanan.
 - To świetnie, że mogliście przyjechać z Jackiem. Czy ktoś mógłby pomóc rejestratorce wypełnić dokumenty? My tymczasem szybko zajmiemy się chłopcem.
- Bob podszedł do rejestracji, by odpowiedzieć na pytania, a Hayley została nieco z boku. Ściskając w ręce telefon, rozglądała się wokół, jakby nagle wylądowała na obcej planecie.
- Zabierzemy Jacka na ortopedię - zdecydowała Tori. - Trzeba go tylko zarejestrować i poprosić lekarza, żeby go wstępnie zbadał. - Spojrzała na wiszącą na ścianie białą tablicę. - Erin, czy na razie mogę go umieścić w reanimacyjnej? Tam jest najwięcej miejsca dla rodziny.

- Jasne. Ale może się zdarzyć, że będziecie musieli szybko wyjść, jeśli przywiozą kogoś w ciężkim stanie.

Tori skinęła głową.

- Znajdę krzesła. - Zerknęła na Hayley i powiedziała przyjaznym, ale stanowczym tonem: - Wyłącz komórkę, dobrze? Może zakłócać pracę niektórych urządzeń.

- Ale...

- Potem ci pokażę, gdzie można jej używać. - Poprowadziła całą grupkę do trójki, nie zwracając uwagi na nienawistne spojrzenie Hayley. - Teraz jednak wyłącz. Dzięki.

Na łóżku ułożono kilka poduszek i Matt delikatnie usadowił na nim siostrzeńca, który pisnął z bólu.

- Może mu podać jakiś środek przeciwbólowy? - zatroszczyła się Tori.

- Odkąd założyłem usztywnienie, ból przesadnie mu nie dokucza.

- To jest moje pismo. - Hayley stanęła w kącie sali i mierzyła Tori wrogim spojrzeniem.

- Podam mu trochę entonoksu.

Uwagę Charlesa przyciągnęły znajdujące się w sali urządzenia.

- Co to jest? - zapytał.

- To urządzenie do podawania tlenu. A to pompa ssąca.

- Po co?

- Usuwamy nią na przykład plwociny z gardła chorego, żeby łatwiej mu było oddychać.

- Feee! - powiedziała głośno Hayley. - Obrzydliwe!

- A to służy do mierzenia ciśnienia. - Tori podeszła do łóżka. - Miałeś kiedyś mierzone ciśnienie, Jack?

- Nie - odparł chłopiec ze strachem. Tori uśmiechem dodała mu otuchy.

- Taki pomiar nic nie boli, skarbie. Trochę tylko ściska ramię. Może chcesz, żeby Charles pierwszy spróbował?

Starszy brat zamrugnął oczami, ale jego usta zaraz rozciągnęły się w uśmiechu.

- Super! - Podwinął rękaw bluzy. - A będę też miał prześwietlenie?

Mart w milczeniu patrzył, jak Tori zapisuje podstawowe wyniki w karcie Jacka. Charles dostał zadanie zbadania bratu pulsu, co potraktował bardzo poważnie, licząc uderzenia przez całą minutę. Linda siedziała na krześle z Bonnie na kolanach, i Matt zauważył, że obie z fascynacją obserwują Tori. Kiedy w pewnej chwili nadmuchała lateksową rękawiczkę i zawiązała jej koniec, robiąc w ten sposób balon dla Bonnie, nawet Hayley obserwowała ją z uwagą. Tori flamastrem dorysowała na rękawiczkę oczy i koguci grzebień. Kiedy skończyła, puściła oko do Hayley.

- Dla ciebie też bym takie coś zrobiła, ale jestem pewna, że wolisz swoje czasopismo.

W pewnej chwili Matt napotkał spojrzenie matki. Równie dobrze mogła wyciągnąć tablicę z napisem: „Dlaczego nie ta? Doskonale radzi sobie z dziećmi. Przecież sam widzisz.”

Matt tylko lekko potrząsnął głową. Spotkanie z Tori nie obudziło w nim żadnych nowych uczuć. Jak zwykle jej towarzystwo sprawiało mu radość. Rozumieli się

doskonale. Jedno spojrzenie Tori wystarczyło, by Matt wiedział, że wyczuwa jego wyczerpanie rolą samotnego opiekuna czwórki dzieci. Przy pierwszej nadarzającej się okazji opowie jej o tym, jaki okropny był miniony tydzień. Może nawet przyzna się do chwil całkowitego zwątpienia w słuszność podjętej decyzji.

Dobrze rozumiał, dlaczego nie chciałyby poświęcić życia na opiekę nad cudzymi dziećmi. Nie dlatego, że ich los jej nie obchodził. Po prostu miała już za sobą podobne doświadczenie i pozostawiło ono ślad w jej psychice. Nic dziwnego, że nie chciała narażać się na kolejne przejścia. Matt pochwalał tę decyzję, a nawet sam był gotów chronić Tori, nie dopuszczając do tego, by przyszło jej do głowy, że ich przyjaźń może przerodzić się w głębszy związek.

Czy to będzie możliwe, jeśli zgodzi się na wspólny weekend? Chyba właśnie to pytanie, a nie troska o dzieci, sprawiało, że zastanawiał się nad decyzją.

Linda zdawała się czytać w jego myślach. Kiedy Jack miał odjeżdżać na prześwietlenie, uśmiechnęła się do Tori.

- Czy to pani siostra wychodzi za mąż w przyszłym tygodniu?

Tori skinęła głową.

- Już nie mogę się doczekać. Dwa dni w słońcu, nad morzem, to będzie coś wspaniałego.

- Matt też się cieszy na ten wyjazd. Tori spojrzała na niego uszczęśliwiona.

- A więc się zdecydowałaś? Jedziesz ze mną? Matt zaczął, aż znajdą się poza zasięgiem uszu reszty rodziny i powiedział:

- Bardzo bym chciał. Przydałby mi się odpoczynek.

- Ale?

- Hayley zaczyna sprawiać kłopoty.

- To nastolatka - odrzekła ze śmiechem Tori. - Na tym polega sens jej życia. Nie będzie cię szanowała, jeśli dasz jej sobą manipulować. Dzieci potrzebują wyraźnych granic, ale też próbują je przekroczyć, żeby zaznaczyć swoją niezależność. Jeśli nie napotkają na opór, będą się posuwać coraz dalej, żeby sprawdzić, na co mogą sobie pozwolić. Jeśli teraz odpuścisz, Hayley wygra, a następnym razem, kiedy będziesz chciał zrobić coś dla siebie, sprawi dwa razy większe kłopoty. Przecież chodzi tylko o dwa dni.

Sama myśl o tym, że Hayley mogłaby sprawić jeszcze poważniejsze kłopoty, napawała go przerażeniem.

- Teraz muszę też myśleć o Jacku.

- Za kilka dni znów będzie szalał jak zawsze. Tylko z gipsem na ramieniu.

- Tori nachyliła się nad noszami, które popychała przed sobą. - Jaki chcesz kolor gipsu, Jack?

- A jakie są do wyboru?

- Cała tęcza - zapewniła Tori. - Zielony, niebieski, żółty i czerwony. Nawet różowy.

- Nie chcę różowego.

- Rozumiem. Wybierzesz sobie kolor, jaki tylko będziesz chciał.

Zasłużyłeś na to, bo jesteś bardzo dzielny. - Figlarnie zerknęła na Marta. - Twój wujek też jest bardzo dzielny. - Zniżyła głos. - I też zasługuje na to, co chce.

- A czego chcę? - Matt dobrze wiedział, dokąd zmierza ta rozmowa, ale tak mu się podobała figlarna mina Tori, że chciał przedłużyć tę chwilę.

- Chcesz się trochę odprężyć i zabawić. Na rajskiej wyspie. Razem ze mną - dodała z uśmiechem, który mówił, że to ona będzie najatrakcyjniejszym punktem programu.

Matt nie mógł się nie uśmiechnąć. Przez dwa dni rodzice dadzą sobie radę, nawet jeśli w grę wchodzi chłopiec z ręką w gipsie i zbuntowana nastolatka. Trudno się oprzeć propozycji takiego wyjazdu. A może trudno się oprzeć Victorii Preston?

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Potrzebujesz towarzystwa?

Tori mogła tylko skinąć głową, ponieważ słowa nie chciały jej przejść przez zaciśnięte gardło. Czy Matt wyczuł, że czuła się samotna, siedząc na balkonie, w ciepłe nocy? Jego uśmiech to sugerował, a słowa potwierdziły.

- Trochę szkoda iść spać i zakończyć taki wspaniały dzień, prawda?

Tori mogła już mówić, a nawet się uśmiechnąć.

- Dzień był cudowny, rzeczywiście. - Wciągnęła głęboko powietrze. - Po prostu doskonały.

- Dopiero pierwsza w nocy. Przyjęcie skończyło się dość wcześnie. - Matt ostrożnie usiadł na wiklinowej bujanej ławce obok Tori. Ławka zakołysała się łagodnie.

- W ciemnościach dla bezpieczeństwa łodzie muszą płynąć razem - wyjaśniła Tori. Jej uśmiech trochę przybladł. - A ciężarne panny młode nie mogą szaleć do rana.

- Ślub był piękny.

- Uhm. - Tori przymknęła oczy, wspominając sceny z minionego dnia.

Sara wprost promieniała, nie tylko radością nadchodzącego macierzyństwa. Jej długie, ciemne włosy spływały swobodnie na prostą, białą

suknię, stopy miała bose, a tropikalne kwiaty we włosach stanowiły jedyną ozdobę. Tori otworzyła oczy i powiedziała rozmarzonym głosem:

- Moja siostra wyglądała przepięknie, prawda?

- Tak jak ty. Zauważyłaś, że Sara wybrała dla ciebie suknię w kolorze twoich oczu?

- Nie. - Szybko odwróciła wzrok. Takich rzeczy jak suknia pasująca do błękitu oczu przyjaciele na ogół nie zauważają. Zwłaszcza mężczyźni. Ona też podziwiała kontrast między jego kremową koszulą a lekko opaloną skórą. I choć zignorowała znaczące spojrzenia Sary, była dumna, że jej towarzysz był jednym z najprzystojniejszych gości.

Matt doskonale się czuł w nowym towarzystwie. Przyjechali zaledwie na dzień przed ślubem, ale można by pomyśleć, że znają się od wielu lat. Kiedy Sara i Tori poszły spać, Ben i Matt urządzili sobie wieczór przy piwie. Tak się polubili, że Matt został drużbą pana młodego.

- Jeszcze nigdy nie widziałem panny młodej bez butów, i w ciąży - z rozbawieniem stwierdził Matt.

- Sara jest taka szczęśliwa - powiedziała Tori ze smutkiem. Pochwyciła spojrzenie Marta i natychmiast tego pożałowała. Zbyt dużo zobaczył. Nie powinna czuć się odsunięta na margines ani zazdrosna.

- Chyba wiesz, że jej nie straciłaś - rzekł cicho. - Zyskałaś dodatkowych członków rodziny. Ben to miły facet, a Phoebe jest wspaniałą dziewczynką.

Skinęła głową.

- Można by pomyśleć, że jest rodzoną córką Sary. Tworzą prawdziwą rodzinę.

- A ty stanowisz jej część. Phoebe jest zachwycona nową ciocią. Wkrótce wszyscy będziecie się częściej widywać. Z tego, co mówił Ben, wynika, że być może przeniosą się do Nowej Zelandii jeszcze przed narodzinami dziecka.

Zapadła krótka cisza. Tori popatrzyła na swoje nagie stopy o pomalowanych na różowy kolor paznokciach. Czuła na skórze spojrzenie Marta, niczym lekki powiew bryzy.

- Szczęściarze, prawda? - powiedział Matt z cieniem zazdrości w głosie. - Odnaleźli się.

- Uhm...

A więc Matt czuje to samo co ona. Dzisiejszy ślub jej siostry był jak szczęśliwe zakończenie bajki. Ilu ludziom udaje się spotkać właściwą osobę w odpowiednim momencie i uwierzyć, że uczucie przetrwa mimo wielu przeszkód?

W sytuacji Marta poszukiwania były niemal z góry skazane na niepowodzenie. A w Tori po dzisiejszej ceremonii obudziło się pragnienie czegoś prawdziwego, a nie tylko romansu bez zobowiązań. Oboje poczuli, że ogarnia ich przejmujący smutek. Tori odruchowo dotknęła ramienia Marta, chcąc go pocieszyć chociaż gestem. Chciała coś powiedzieć o tym, że na pewno gdzieś czeka na niego ta druga połowa, ale przeszedł ją dziwny dreszcz. Coś takiego nie mieć miejsca między przyjaciółmi. Szybko cofnęła rękę, a słowa pocieszenia zamarły jej na ustach.

Matt przez chwilę również miał zmieszana minę. Szybko odwrócił wzrok i zaczął podziwiać widok

z balkonu łączącego ich pokoje. Widać było, że pragnie zmienić temat.

- Wspaniale, prawda? Zobacz, jak światło księżyca załamuje się na falach. A te wysepki w ciemnościach wyglądają tak tajemniczo...

- Ta wyspa jest niesamowita. Chyba już nigdy nie będę chciała spędzać wakacji w żadnym innym miejscu. Te skały na plaży, gdzie odbył się ślub, to chyba najbardziej romantyczne miejsce pod słońcem. Mieliśmy szczęście, że nie padało.

- Nawet gdyby padało, to Sara i Ben chyba by tego nie zauważyli.

- Ale goście pewnie tak. I deszcz zepsułby przyjęcie w ogrodzie.

- Skoro mowa o gościach... trochę niezręcznie się czuję, bo jestem jedynym, któremu zaproponowano nocleg.

- Ale ja jestem najbliższą rodziną panny młodej - przypomniała mu Tori. - Nie licząc tej starszej pani, ciotki Bena. Gdyby jej przydzielono gościnne łóżko, my musielibyśmy spać na kanapie.

Wymienili spojrzenia i znów poczuli, że ogarnia ich zakłopotanie. Serce Tori zaczęło szybciej bić. W oczach Marta dostrzegła więcej niż przyjacielskie zainteresowanie. Zapewne było to efektem wzmianki o nocy na kanapie.

Praktycznie są tu sami, otoczeni ciemnością tropikalnej nocy. Apartament gościnny był oddzielony od głównego domu. Siedzieli tuż obok siebie, na dodatek bardzo skąpo ubrani. Tori miała na sobie jedwabne szorty i cienką koszulkę bez rękawów, w której lubiła

sypiać. Mart był ubrany w bokserki i kremową, nieza-piętą koszulę.

- Większość gości to i tak byli miejscowi - powiedziała szybko. - Kiedy Ben tu pracował, zaprzyjaźnił się z wieloma ludźmi. - Opalona skóra Matta przyciągała jej wzrok. Niemal czuła jej dotyk pod palcami. Może czas już ziewnąć i wycofać się do siebie?

Na myśl o pustym łóżu w pokoju gościnnym Tori poczuła suchość w ustach. Na dodatek Mart przyglądał jej się z dziwną miną.

- Nasoya pracuje w hotelu, w którym zatrzymałyśmy się z Sarą w zeszłym roku. Nie wiedziałam, że tak dobrze gra na gitarze. A zauważyłeś tę śliczną dziewczynkę, która z Phoebe rzucała płatki kwiatów? Nazywa się Milika. Sara uratowała ją przed utonięciem. A potem została uznana za honorową obywatelkę wioski, z której pochodzi Milika. - Tori zamilkła, kiedy zauważyła błysk zębów Matta.

- O co chodzi? Powiedziałam coś zabawnego?

- Ja się nie śmieję - zaprotestował. - Po prostu z przyjemnością cię słucham. Ciebie wszystko cieszy, a to jest zaraźliwe. Mam wielkie szczęście, że się tu znalazłem i że jesteś moją przyjaciółką.

- Ja też uważam, że mam szczęście. - Tori z wysiłkiem oderwała wzrok od orzechowych oczu Matta, przenosząc go na jego ręce. - Nie każdy zniósłby moją paplaninę, ale z tobą czuję się tak swobodnie, że chyba mogę ci mówić, co zechcę.

- Możesz. Lubię słuchać.

Przez chwilę panowała cisza, bo Tori mocno za-

mknęła oczy i starała się zapomnieć, że Matt znajduje się tak blisko.

- Naprawdę bardzo cię lubię - szepnął Matt.

- Ja też cię lubię.

- Wolałbym tylko, żeby...

- Żeby tak dużo nie gadała? - zapytała ze śmiechem.

- Nie.

- To w takim razie co? - Dobrze wiedziała, dokąd zmierza ta rozmowa. A może tylko miała taką nadzieję? Najbezpieczniej byłoby się wycofać, i to szybko. Jednak Tori nie odeszła. Coś ją trzymało na miejscu; jakaś siła zbyt mocna, żeby jej się oprzeć. -Matt?

- Twoja przyjaźń wiele dla mnie znaczy - zaczął ostrożnie. - Nikt inny tak dobrze nie pojmuje, jakie mam teraz trudne życie. Mogę sobie żartować albo skarżyć się na dzieci i wiem, że mnie zrozumiesz. I miałaś rację, Hayley ustąpiła, kiedy powiedziałem jej, że postanowiłem wyjechać na dwa dni. Oczywiście obraziła się i trzasnęła drzwiami, ale mam wrażenie, że moja stanowczość wzbudziła w niej szacunek.

- Ależ tak. To wspaniałe dzieciaki, a Hayley bardziej niż reszta rodzeństwa zdaje sobie sprawę, że to, co robisz, jest niezwykle. Mnie nie byłoby na to stać, czyli jesteś ode mnie lepszy. - Uśmiechnęła się szeroko.

- Właśnie! Możesz mieć na mnie dobry wpływ.

Roześmiał się.

- Może mój dobry wpływ sprawi, że przeniesiesz się do pogotowia.

Doskonale się do tego nadajesz. Joe też tak uważa. Uwielbiamy z tobą pracować.

- Myślę o tym bardzo poważnie. Już się dowiadywałam, jakich formalności musiałabym dopełnić. Kiedy przez nie przebrnę, po prostu złożę w szpitalu miesięczne wypowiedzenie.

Matt wyglądał, jakby jej nie słuchał.

- Problem polega na tym, że za bardzo lubię przebywać w twoim towarzystwie, Tori. Na przykład teraz muszę cię uczciwie ostrzec, że niesamowicie mnie pociągasz. Myślałem, że już udało mi się nad tym zapanować, ale nasz wspólny pobyt tutaj udowodnił mi, że sam siebie chciałem oszukać.

- Och... - Sama się o to prosiła, czyż nie? I co może z tym teraz zrobić? Odpowiedziała, zanim zdążyła się zastanowić: - Ty mnie też pociągasz, Matt.

Patrzyli sobie w oczy, a ich ręce się zetknęły. Tori poczuła, że jej ciało przenika miły dreszcz.

- I co w związku z tym zamierzasz? - zapytał Matt.

- Ja... eee... - Nie chciała wyznać, na co ma ochotę. Czy zmieniłby o niej zdanie, gdyby zaproponowała mu seks bez zobowiązań? Zależało jej, by dobrze o niej myślał. - Nie wiem - szepnęła. - A ty? Co zamierzasz zrobić?

Matt przestał kreślić kółka na jej dłoni, odwrócił wzrok i zapatrzył się w morze. Otworzył usta, ale zaraz je zamknął i zapadła cisza. Słysząc tylko odległe kumkanie żab i cichy szum fal omywających plażę. W końcu Matt westchnął. Tori z bijącym sercem czekała na jego słowa.

- Nie chcę stracić twojej przyjaźni - powiedział. - Gdybyśmy spędzili razem tę noc, wszystko by się zmieniło.

- Może... zostalibyśmy bliższymi przyjaciółmi. -Rozczarowanie to bardzo nieprzyjemne odczucie.

- Oboje wiemy, że nie ma dla nas przyszłości. - W głosie Marta zabrzmiała rezygnacja. - Rozumiem i akceptuję to, że nie chciałabyś zajmować się cudzymi dziećmi. Pewnie myślałbym tak samo, gdybym dorastał w takich warunkach jak ty.

Urwał i powoli wciągnął powietrze. Tori mogła wykorzystać ten moment i wyjaśnić, że jej postanowienie wcale nie jest ostateczne. Fakt doskonałego porozumienia między Sarą a Phoebe dał jej wiele do myślenia. Coś ją jednak powstrzymało. Może świadomość, że Sara spogląda na świat z innej perspektywy? Ona weszła do rodziny z zewnątrz.

Choć serce i ciało Tori starały się ją przekonać, że związek z Mattem jest możliwy, to rozum wciąż się temu przeciwstawiał. Musiała się zgodzić, że nie ma dla nich przyszłości. Przynajmniej nie na dłuższą metę. Ale dlaczego mieliby nie cieszyć się tym, co możliwe? Na przykład przyjaźnią. Bardzo bliską...

- Seks sprawiłby, że stalibyśmy się czymś więcej niż tylko przyjaciółmi - zauważył cicho Matt. - W efekcie jedno z nas zostałoby zranione.

Gdybym na przykład nie potrafił się oprzeć i zakochałbym się w tobie, dokąd by mnie to zaprowadziło? - Uścisnął jej rękę i roześmiał się ponuro. - I bez tego mam dość skomplikowane życie osobiste.

Tori znów milczała. Tym razem dlatego, że do oczu napłynęły jej łzy rozczarowania. Matt ma rację. To on zostałby najbardziej pokrzywdzony. Sięgnięcie po to, czego tak gorąco pragnie, byłoby z jej strony bardzo

egoistyczne. W końcu to ona sama zakreśliła granice ich przyjaźni. Może wszystko byłoby inaczej, gdyby Matt opiekował się tylko jednym dzieckiem, na przykład taką dziewczynką jak Phoebe. Jednak on wychowywał czworo dzieci, a jedno z nich było niezadowoloną z życia nastolatką, która bardzo przypominała jej Monique.

- To pewnie wina okoliczności. - Zabrzmiało to tak, jakby Matt usiłował coś wytłumaczyć przede wszystkim sobie. - Przez cały dzień patrzyliśmy na dwoje zakochanych ludzi, którzy postanowili spędzić razem życie. Często się zdarza, że wśród gości weselnych tworzy się jakaś para. W dodatku to dzieje się chyba w najbardziej romantycznym miejscu na ziemi.

Palec Marta znów zataczał kręgi na dłoni Tori. Powinna cofnąć rękę, zanim frustracja doprowadzi ją do szaleństwa, jednak nie mogła się zmusić do przerwania tego kontaktu.

- Oboje poczuliśmy się nieco samotni - ciągnął Matt. - Lubimy się... i to bardzo. I zostaliśmy pozostawieni sobie samym. W takich warunkach łatwo stracić głowę.

Musiała zagryźć wargi, żeby mu nie przerwać.

- Gdybyśmy jednak ulegli pożądanemu, moglibyśmy pożałować tego tuż po powrocie do domu, do rzeczywistości - mówił dalej. - A to zniszczyłoby naszą przyjaźń. - Jeszcze raz uściskał jej dłoń i odsunął się. - Na to nie mogę pozwolić.

Wstał, a ławeczka zakołysała się tak gwałtownie, że Tori straciła równowagę. Matt ją przytrzymał za ra-

miona, a potem pochylił się i lekko pocałował ją w usta.

- Dobranoc, Tori. - Jego głos był łagodny jak pieszczota. - Śpij dobrze.

To nie jej wina! Za każdym razem, kiedy Matt wchodził do sali reanimacyjnej, napotykał spojrzenie Tori. Gdy widziała, że na oddział wchodzi ktoś w kombinezonie ratownika, odruchowo sprawdzała, czy to nie Matt. A jeśli to był Matt, on również szukał jej wzrokiem.

Odkąd dziesięć dni temu wrócili z Fidżi, wyraz tego spojrzenia zaczął się zmieniać. Trudno było nie dostrzec, że Matt czuł się urażony. Ale przecież ona zrobiła tylko to, co należało. Chciała czegoś więcej niż przyjaźni. Starła się to ukryć, choć przychodziło jej to z trudem. Nie zamierzała się narzucać. Tak, gdyby spędzili ze sobą noc, ich związek by się zmienił. Ale to, że się przed tym powstrzymali, też wpłynęło na ich stosunek do siebie, i to w niedobry sposób.

Tori nie miała zamiaru odwoływać dyżuru z Mattem w pogotowiu, ale żeby uniknąć dalszej frustracji, unikała go przez cały dzień.

I z tego powodu Matt poczuł się urażony. Oczywiście nie okazał jej tego w wyraźny sposób. Tylko przez ułamek sekundy dostrzegła w jego spojrzeniu wyrzut i zdziwienie. Wwiózł właśnie pacjenta do najlepiej wyposażonej sali reanimacyjnej, przeznaczonej dla najcięższych przypadków.

- To jest Martin Burns - poinformował lekarza dyżurnego. - Trzydzieści dwa lata, do tej pory na nic

poważnie nie chorował. Skarżył się na nagły rwący ból w klatce piersiowej, promieniujący na plecy.

Pacjent był wyjątkowo wysoki. Stopy wystawały mu spod koca i zwiślały nad skrajem noszy przystosowanych do transportu o wzroście do metra pięćdziesięciu. Był również bardzo szczupły. Tori zastanawiała się, czy nie cierpi na jakieś schorzenie tkanki łącznej, na przykład na syndrom Marfana.

- W chwili przybycia ciśnienie sto osiemdziesiąt na siedemdziesiąt pięć w lewej ręce, sto pięćdziesiąt na sześćdziesiąt pięć w prawej.

Tori zerknęła na lekarza w nadziei, że doceni profesjonalne postępowanie Matta. Ilu ratowników rozpoznałoby, że ten ból w klatce piersiowej świadczy raczej o rozwarstwieniu ściany aorty, a nie o zawale? Ilu zmierzyloby ciśnienie krwi w obu rękach, by się przekonać, czy nie występuje tu wiele mówiąca rozbieżność wyników?

- Po piętnastu miligramach morfiny stopień bólu spadł z dziesięciu do pięciu.

Przeniesienie pacjenta przebiegło gładko. Tori czekała z czujnikami do elektrokardiogramu.

- Witam - rzekła z uśmiechem do chorego. - Proszę się nie martwić o te druty i kable. Musimy wykonać kilka badań.

- Rytm sinusoidalny regularny, osiemdziesiąt -mówił Matt. - Płuca czyste, tempo oddechu dwadzieścia. Saturacja tlenem pięćdziesiąt osiem procent na osiem litrów tlenu.

Tori ujęła koniec rurki, kiedy Matt odłączył butlę.

- Dzięki - powiedziała. Dłużej niż zwykle pod-

łączyła rurkę do urządzeń szpitalnych. Z normalnego rytmu wybiło ją spojrzenie Matta. Muszą porozmawiać, ale w tej chwili żadne z nich nie ma na to czasu. Jego pager już brzęczał niecierpliwie.

- Dobra robota, Matt - pochwalił lekarz dyżurny i polecił asystującej mu lekarce: - Daj znać na kardiologię. Musimy wykonać echokardiografię przez-przełykową.

W ciągu następnych godzin nie mieli okazji do rozmowy. Kiedy Matt przybył z kolejnym pacjentem, Tori była zajęta poza izbą przyjęć i dlatego to Maureen odpowiedziała mu na pytania dotyczące stanu zdrowia Martina Burnsa.

- Bardzo się ucieszył, kiedy usłyszał, że ten typ rozwarstwienia ściany aorty nadaje się do leczenia bez interwencji chirurgicznej - rzekła Maureen do Tori z pełnym satysfakcji uśmiechem. - Rozmawialiśmy bardzo długo.

Choć nie chciała słuchać dalszych opowieści o tej rozmowie i chociaż jej dyżur minął, Tori zajrzała jeszcze do kilku pacjentów, a nawet wypła kawę w pokoju pielęgniarek, w nadziei że zobaczy Matta. W końcu jednak musiała się poddać. Wsiadła do swojego starego garbusa i ruszyła do domu. Dziś nie ma już szans na spotkanie z Mattem. Tłumaczyła sobie, że może tak jest lepiej. Rozmowa z nim byłaby bardzo trudna. Zauważył, że wcześniej go unikała. Może nawet domyślił się dlaczego. Miała nadzieję, iż nie doszedł do wniosku, że ona nie chce już jego przyjaźni. Przecież sam zrezygnował z seksu, żeby nie psuć

relacji między nimi. Ale jeśli sprawy nadal tak się będą rozwijać, właśnie to się zdarzy.

I to jednak ona ponosi za to winę, ponieważ to ona unika jego towarzystwa, bo tak jej łatwiej.

Kiedy tylko zjechała z autostrady, zatrzymała się na poboczu, wyłączyła muzykę i wyjęła z torby telefon komórkowy. Szybko znalazła numer Marta, ale znacznie trudniej było zdecydować się na połączenie. A jeśli jest tak obrażony, że nie zechce z nią rozmawiać?

Po namyśle postanowiła wysłać SMS-a. Zabrało jej to tylko kilka sekund. „Brakuje mi ciebie”, napisała.

Kiedy usłyszała sygnał oznaczający, że przysłała odpowiedź, poczuła dziwny dreszcz.

„Mnie też ciebie brakuje”, odpisał Mart.

Ze zdziwieniem poczuła łzy pod powiekami. Nie zdawała sobie sprawy, że aż tak bardzo za nim tęskni. Znow rozległ się sygnał telefonu.

„Jesteś zajęta wieczorem?”

Czyżby chciał się z nią spotkać? Ona również bardzo tego pragnęła. Nie ma znaczenia, że muszą pozostać tylko przyjaciółmi. Po prostu chciała go zobaczyć, nacieszyć się jego towarzystwem. Ma mu tyle do powiedzenia - na przykład to, że niedaleko ktoś wystawił na sprzedaż piękny, nowoczesny dom nad morzem, a Ben i Sara bardzo chcą go kupić.

Chciała go też wypytać, jak to się stało, że się domyślił, na co cierpi Martin Burns.

Błyskawicznie wystukała odpowiedź.

„Nie. A ty?”

„Będziesz w domu?”

„Właśnie jadę." „Wpaść o ósmej?"

Chce ją odwiedzić? Tori na chwilę zabrakło tchu. Dotąd nigdy się nie odwiedzali. Co się może wydarzyć w ciepły, wiosenny wieczór w jej stojącym nieco na uboczu domu?

Gdyby Mart zamierzał nadal utrzymywać dystans, nie wybrałby takiego miejsca na spotkanie. Tori poczuła, że zaschło jej w ustach. Ręce jej się nieco trzęsły, kiedy w odpowiedzi wystukiwała jedno słowo:

„Jasne".

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Unikałaś mnie.

- Wcale nie.

- Tori!

Roześmiała się radośnie.

- Mówisz jak Sara, kiedy się na mnie złości! Kiedy usłyszała samochód Marta na podjeździe,

wyszła na werandę. Stała teraz uśmiechnięta u szczytu schodów.

- Tak, chyba jednak starałam się ciebie unikać -przyznała szczerze. -
Przepraszam.

Mart szybko stanął przy niej, tak że czuła ciepło jego ciała. Nie uśmiechał się.

- Ale dlaczego?

- Ja... - Przyszło jej na myśl wiele sprytnych wymówek, ale nie chciała ich wykorzystywać. Widziała zmarszczone czoło Matta, ból i niepokój w jego oczach. Zasługiwał na prawdę.

- Nie byłam w stanie zapomnieć o tamtej nocy na Fidzi - odrzekła cicho. -
I nadal wcale mi nie przeszło.

- Co ci nie przeszło?

Tak trudno wyznać prawdę...

- To, że cię pragnę - wyszeptała w końcu. Mart westchnął cicho, objął ją i przytulił.

- Ja też tak się czuję, ale sądziłem, że postanowiłaś usunąć mnie ze swojego życia. To było straszne.

Tori mocno go objęła. Pod szorstkim swetrem czuła jego napięte mięśnie.

- Nie chciałam, żebyś czuł się do czegoś zmuszony. Sam mówiłeś, że i tak masz skomplikowane życie. Bałam się, że kiedy znajdę się blisko ciebie, stanie się jasne, czego pragnę.

- Ja pragnę tego równie mocno jak ty. - Odsunął się i spojrzał jej w oczy. Miała zamiar pokazać mu dom, opowiedzieć, jak miło jest mieszkać nad morzem, tuż obok rezerwatu przyrody, ale teraz to wszystko wyleciało jej z głowy. Nie miało znaczenia, gdzie się znajdują. Równie dobrze mogli nadal być na Fidżi albo na Księżycu. Oprócz nich dwojga nie istniało nic.

- Co zrobimy?

Matt patrzył na nią z takim uczuciem, że czuła, jakby wreszcie naprawdę zaczęła żyć.

- Jeśli to zrobimy, będzie źle, ale jeśli tego nie zrobimy, będzie jeszcze gorzej - powiedział cicho.

- Może nam się jednak uda - wyszeptała.

- Czyli żadnych zobowiązań?

- Ani dla ciebie, ani dla mnie.

- I niech się dzieje, co chce.

- Przyjemności też są ważne, Matt. Może po prostu dajmy się ponieść fali i zobaczymy, co będzie?

Kiedy mówiła, nie odrywał wzroku od jej ust. Potem na chwilę przymknął oczy. Wymamrotał coś pod nosem na temat braku wyboru i jeszcze zanim skończył, jego usta dotknęły ust Tori.

Pierwszy dotyk był lekki jak piórko. Na chwilę odsunęli się od siebie i zaraz znów zaczęli się całować, tym razem mocno i namiętnie. Tori nawet nie zdawała sobie sprawy, że cofa się pod naporem Marta, dopóki nie poczuła za plecami futryny drzwi. Oparła się o nią wygodnie i nie bojąc się już o utratę równowagi, zatraciła się w pocałunku.

Wsunęła palce we włosy Matta, a on gładził jej ramiona. Włożył dłonie pod jej bluzę, a kiedy Tori poczuła jego dotyk na skórze, głośno jęknęła. Wyraźnie czuła, że Mart jest tak podniecony jak ona. Z wysiłkiem oderwała się od niego.

- Wejdz do środka - poprosiła. - Chcę ci pokazać dom.

- Teraz nie mam ochoty na zwiedzanie. Później... Uśmiechnęła się leniwie.

- Ale ja ci chcę pokazać sypialnię na piętrze. Właśnie zmieniałam pościel, więc...

Nie dokończyła. Pisnęła z zaskoczenia, kiedy Mart wziął ją na ręce i pchnął nogą drzwi.

- Którędy? - zapytał krótko.

Przesuwała ustami po jego szyi, napawając się nowym doświadczeniem. Jeszcze nigdy nie dała się tak ponieść, i to wręcz dosłownie!

- W górę, pierwsze drzwi po lewej - odrzekła. Po wymianie SMS-ów zmieniła pościel i rozstawiła

w sypialni tuzin zapalonych świec. Nawet jeśli Matt zauważył, że poczyniła te przygotowania, nic nie powiedział, może dlatego, że był zajęty rozbieraniem Tori. Każdy odsłonięty kawałek skóry pokrywał pocałunkami i pieszczotami.

Tori również zdjęła z niego sweter i podkoszulek. Kiedy rozpięła guzik dzinsów, Matt wyszeptał z trudem:

- Pragnę cię. Nie mogę dłużej czekać. Uśmiechnęła się do niego, opadła na łóżko i przyciągnęła go do siebie.

- Ja też nie.

Nie miało znaczenia, że ich wstępne pieszczoty trwały bardzo krótko.

Przynajmniej tym razem. Zbyt długo czekali na to, co powinno się zdarzyć już na Fidżi, więc kochali się zachłannie, a gdy skończyli, nie poczuli zaspokojenia. Za drugim razem delectowali się każdą pieszczotą i pocałunkiem, szeptali słowa pełne zachwyty i czułości.

Świece niemal się wypaliły, kiedy wreszcie byli w stanie pomyśleć i mówić o czymś innym niż ich doznania. Tori odezwała się pierwsza.

- Kiedy musisz wracać do domu?

- Zapowiedziałem, że będę przed północą. A która jest?

Niechętnie wysunęła się z jego ramion i spojrzała na budzik przy łóżku.

- Jedenasta - stwierdziła z przerażeniem. - Do domu masz pół godziny drogi.

Matt przyciągnął ją do siebie.

- W takim razie mamy jeszcze trzydzieści minut dla siebie - odrzekł. -

Wykorzystajmy je jak najlepiej.

- Czy twoja mama wie, gdzie jesteś?

- Pewnie się domyśliła. Przez ostatnie dni zachowywałem się jak gderliwy niedźwiedź. Odkąd wróciłem z Fidżi, rzuca mi bardzo dziwne spojrzenia.

- Przepraszam, Matt. Nie chciałam jeszcze bardziej komplikować ci życia.

- Podarowałaś mi coś, co jest warte każdych komplikacji. - Pocałował ją mocno w usta.

- Dobrą zabawę?

- Najlepszą pod słońcem. Powtórzymy to?

- Jasne. Nie tylko ty dobrze się bawiłeś.

- A więc kiedy? - Gdyby chodziło tylko o dobrą zabawę, w pytaniu Matta nie zabrzmiałby niepokój połączony z niecierpliwością.

- Wkrótce - obiecała, starając się mówić nonszalancko. - Zależy to głównie od ciebie. Ja nie mam żadnych zobowiązań. Kiedy nie pracuję, jestem wolna.

Matt nie mógł tego powiedzieć o sobie.

- Dwie najbliższe noce pracuję, ale mam wolny weekend. Mógłbym poprosić mamę, żeby w sobotę albo w niedzielę po południu zajęła się dziećmi.

- Zgodzi się?

- Będzie uszczęśliwiona, zwłaszcza jeśli jej powiem, co zamierzam.

Bardzo jej się spodobałaś tego dnia, kiedy zjawiliśmy się w szpitalu z Jackiem.

- Nie da się tego powiedzieć o Hayley. - Tori dobrze pamiętała wrogie spojrzenia nastolatki. - Nie będzie zachwycona, kiedy się dowie, że chcesz się ze mną spotkać.

- A więc się nie dowie - odrzekł Matt spokojnie. - Przecież mam prawo do własnego życia, prawda?

Tori uśmiechnęła się.

- Trudno mi się z tym nie zgodzić. Może następnym razem uda mi się pokazać ci dom?

- Może. - Matt wstał i zaczął zbierać ubranie. - Ale nie gwarantuję, że tak będzie.

Z czasem sama wzmianka o „pokazywaniu domu” stała się dla nich żartem, którego znaczenie rozumieli tylko oni. Matt odwiedzał Tori, gdy tylko zdołał wygospodarować trochę czasu.

- Przyjechałem obejrzeć dom - oznajmiał w progu ze śmiertelnie poważną miną. - Może nawet wraz z ogrodem.

- Jasne-odpowiadała. - Wejdz, zaraz ci go pokażę.

Oczywiście przy każdej wizycie rzeczywiście poznawał dom Tori coraz lepiej. W wygodnej, choć zagraconej kuchni w pośpiechu przyrządzali posiłek, a w starej lodówce na szczęście można było szybko schłodzić wino.

Mały salonik z gazowym kominkiem był przytulny i swojski, a kanapa w sam raz mieściła dwoje ludzi.

Łazienka o biało-niebieskiej mozaikowej podłodze spełniała swoje zadanie, choć woda ze starego prysznicza ciekła wąskim strumieniem.

Najlepiej jednak Matt poznał zakątki sypialni Tori. Z jej okna roztaczał się wspaniały widok, z jednej strony na las, a z drugiej na morze. Cały dom w ogóle bardzo przypominał Tori. Nie był przesadnie uporządkowany, ale ciepły i przytulny. Matt szybko poczuł się w nim jak u siebie, choć zostało wiele miejsc, których jeszcze nie znał. Ale to dawało mu pretekst do dalszych odwiedzin.

Któregoś wieczoru udało mu się obejrzeć nieznaną część domu, choć wcale nie zamierzał tego robić.

Pochłonięci sobą, nie zauważyli, że zerwał się silny wiatr, a z nieba lunęły strugi deszczu. Wielkie krople głośno biły o pokryty blachą falistą dach, szyby drżały od uderzeń wiatru, a płomienie świec migotały w przeciągach.

Mart powoli dochodził do siebie po porywach namiętności, kiedy zdał sobie sprawę z siły szalejącej wichury. Przyciągnął Tori do siebie i nakrył ich oboje kołdrą. Wtuliła się w niego, mrużąc jak zadowolona kotka.

- Jesteś niesamowita, wiesz?

- Ty też nie najgorzej wypadasz - odrzekła pogodnie.

Uśmiechnął się w ciemnościach. Nie mógł powiedzieć tego, co naprawdę myślał. Spotykali się tylko dla przyjemności, bez zobowiązań. Gdyby jej wyznał, że nigdy dotąd nie zdarzył mu się tak wspaniały seks, mogłaby pomyśleć, że usiłuje do czegoś ją zobowiązać. Może czułaby się zmuszona zostać z nim, nawet gdyby spotkała kogoś bardziej atrakcyjnego, nie obciążonego obowiązkami rodzinnymi?

I nie mógł jej powiedzieć, że najbardziej magiczne chwile przeżywał wtedy, kiedy wyczerpani miłością leżeli w swoich objęciach. Jeszcze nigdy żadna istota ludzka nie była mu tak bliska i nigdy nie czuł się taki silny i spełniony.

Mógł tylko cieszyć się tą chwilą, tym cenniejszą, że ulotną. Tori zwykle pierwsza zaczynała wiercić się niespokojnie, znów rozpalając jego namiętność, jeśli tylko mieli na to czas, lub proponując wspólny prysznic czy posiłek. Tym razem jednak spojrzała na niego bez zwykłego figlarnego błysku w oku.

- Mart, co to było? - spytała z przerażeniem. Gdzieś blisko rozległo się jakieś dziwne trzeszczenie. Mart przez chwilę nasłuchiwał.

- To tylko wiatr - powiedział w końcu. - Już nic nie słyhać. Wszystko w porządku.

Następny silny podmuch udowodnił, że Matt się mylił. Głośny trzask i głucho uderzenia tuż nad ich głowami były zbyt wyraźne, by je zignorować.

- Wiatr zrywa dach! - stwierdziła z przerażeniem Tori.

- Poszukajmy latarki. - Matt ubrał się szybko. -Zobaczę, co się stało.

Strugi deszczu ograniczały widoczność, ale odgłos naderwanego płata blachy falistej uderzającego o dach pozwolił Mattowi na wyciągnięcie wniosków.

- Zdaje się, że to tylko kawałek blachy - oznajmił.

- Gwoździe pewnie się obluzowały i wiatr uniósł jeden róg. Skoro już tu jesteśmy, sprawdźmy, co się dzieje po drugiej stronie domu.

Do środka wrócili przemoknięci i zmarznięci. Tori co prawda znalazła dla Marta nieprzemakalną kurtkę, ale jego dżinsy ociekały wodą.

- Lepiej weź prysznic, żeby się rozgrzać - poradziła mu. - Wrzucę twoje dżinsy do suszarki. Jeśli wrócisz do domu mokry, Hayley może nabrać podejrzeń, że wcale nie spędziłeś tego wieczoru w pubie.

Kiedy Matt wyszedł z łazienki, zobaczył Tori wnoszącą na górę garnki oraz rondle.

- Co się...

- Dach zaczął przeciekać - poinformowała go.

- Woda kapie prosto na łóżko.

- O nie! - Pomógł jej poprzesuwać meble i rozstawić garnki. Tori z przerażeniem patrzyła na wykwitające na suficie mokre plamy.

- To okropne! Co ja teraz zrobię?

- Burza do rana się skończy - uspokajał ją Matt.

- Na razie nic nie poradzisz, ale rano wezwij fachowca.

- Tylko że jutro jest niedziela. Nawet jeśli kogoś znajde, to pewnie wystawi mi słony rachunek!

Matt zmarszczył czoło.

- Masz trudną sytuację finansową? Przytaknęła z nieszczęśliwą miną.

- Mama zostawiła mnie i Sarze dom z nieobciążoną hipoteką, ale to wszystko. Kiedy mieszkaliśmy tu we dwie, koszty utrzymania rozkładały się na pół i jakoś dawałyśmy sobie radę, ale nigdy nie zostawało nam tyle pieniędzy, żeby zrobić remont. Pewnie dlatego teraz dach się rozpada.

Oboje spojrzeli na nową stróżkę wody kapiącą z sufitu. Tori chwyciła ostatni pusty garnek i ustawiła go w odpowiednim miejscu. Wargi jej drżały, kiedy patrzyła, jak garnek powoli napełnia się wodą.

- Nie wiem, skąd wezmę pieniądze - rzekła cicho.

- Prawdziwa katastrofa. Pewnie trzeba pokryć dach na nowo.

Widząc jej zrozpaczoną minę, Matt objął ją i przemówił czule, jak do dziecka.

- Wszystko będzie dobrze, skarbie. Wcale nie trzeba remontować całego dachu. Wystarczy przybić ten kawałek blachy i sprawdzić, czy pozostałe gwoździe mocno trzymają. To nic trudnego, mógłbym to zrobić sam.

- Potrafiłbyś? - W oczach Tori pojawiła się iskierka nadziei. - Naprawdę?
- Oczywiście. Jeśli chcesz, to jutro przyjadę. - Po chwili dodał: -
Musiałbym jednak zabrać dzieci. Nie mogę prosić mamy, żeby znów się
nimi zajęła. Potrzebuje choć jednego dnia odpoczynku.
- Nie ma problemu! - zgodziła się szybko. - Byłoby cudownie, gdyby ci
się udało naprawić ten dach!
- Możesz być spokojna! - Odepchnął od siebie myśl, że narzuca jej
towarzystwo swoich podopiecznych. To była wyjątkowa sytuacja. Tori
potrzebuje pomocy i trzeba działać. - Po drodze kupię gwoździe i
przyjedziemy tutaj mniej więcej na dziewiątą. Zgoda?
Odpowiedziała mu entuzjastycznym pocałunkiem.
- Matt, jesteś aniołem! - zawołała. - Uwielbiam cię.
Wesołe krzyki dzieci rozlegały się w domu Tori po raz pierwszy od
długiego czasu i o dziwo, wcale jej nie irytowały. Słuchała ich wręcz z
przyjemnością.
Tak bardzo się cieszyła z pomocy Marta, że nic nie było w stanie
wyprowadzić jej z równowagi. A może działało się tak dlatego, że chmury
wreszcie się rozeszły, odsłaniając czyste błękitne niebo, a w ogrodzie
unosił się cudowny zapach wilgotnej ziemi?
- Przepraszam, że tak tu mokro, ale od dawna nie kosiłam trawy.
- Przydałaby ci się koza-zażartował Matt. Omijając wyższe kępy,
podeszli do starej stajni i spojrzeli na pajęczyny zasnuwające wielki,
żelazny skobel. -Drabiny chyba też od dawna nie używałaś. Na pewno
tam jest?
- Na pewno. Ukryta między różnymi rupieciami.

Matt otworzył drzwi, a dzieci zaglądały do środka z okrągłymi z ciekawości oczami.

- Tu jest jak w sklepie ze starociami - stwierdził zachwycony Jack. - Ale fajnie!

- Nic fajnego tu nie widzę - burknęła Hayley, otrzepując mokre nogawki dzinsów.

- Gdybyś nie nosiła długich spodni, to by ci się tak nie zamoczyły - pouczył siostrę Charles. - Tori, możemy się tu pobawić?

- Jasne. - Spojrzała pytająco na Marta. - Są szczepieni przeciw tężcowi?

- Uważajcie na zardzewiałe gwoździe! I żadnych skaleczeń!

- Bardzo miło z twojej strony, że postanowiłeś mi pomóc. - Tori z poczuciem winy zerknęła na Hayley.

- Mam wrażenie, że nie wszyscy są zachwyceni takim planem na niedzielę.

- Dobrze jej to robi - odrzekł cicho. - Była gotowa spędzić cały dzień z koleżankami w centrum handlowym.

- Patrzcie! - Jack odsunął worki z sosnowymi szyszkami. - Czy on jeszcze jeździ?

Tori spojrzała na stary rower z wiklinowym koszem przy kierownicy.

- W oponach pewnie nie ma za dużo powietrza. Ale czy tobie wolno jeździć z ręką w gipsie?

- Za trzy dni mają mi go zdjąć - oznajmił chłopiec.

- Ręka już nie boli. Mogę nawet zrobić coś takiego.

- Mówiąc to, z całej siły uderzył w jeden ze słupów podtrzymujących dach. Tori drgnęła, ale Matt tylko się uśmiechnął.

- Możesz się przejechać - zdecydował. - Oczywiście, jeśli Tori ci pozwoli.

- Te rzeczy leżą tu bezużytecznie od czasów mojego dzieciństwa. Zobacz, Bonnie! Tam stoi mój stary wózek dla lalek.

- O! Mogę go obejrzyć? Bardzo proszę.

Matt wspinał się na coś, co wyglądało na fragmenty starego traktora, i wydobył zza niego wózek z wikliny.

- Możliwe, że leży tam też pudło ze starymi lalkami i innymi zabawkami - przypomniała sobie Tori.

- Myślałem, że przyszedł tu po drabinę. Tori puściła oko do Bonnie.

- Rozejrzyj się za nią, skoro już tam wszedłeś. Musi gdzieś tu być.

- Wujku! Zobacz!

- Za chwilę, Charles. Muszę znaleźć drabinę, bo inaczej nigdy nie naprawię dachu.

- Ale ja znalazłem jakiś szkielet. Chyba kota, a może nawet szczura! Bonnie pisnęła przerażona, ale z ciekawością zerknęła na znalezisko.

- Mogę go sobie zabrać, Tori? Do kolekcji?

- Jasne. - Uśmiechnęła się szeroko. - Zabierz go koniecznie.

- Mam! - Matt wyciągnął zza traktora rozkładaną drewnianą drabinę. - Chodźmy stąd, zanim jeszcze coś znajdą.

Przytrzymując drabinę, Tori patrzyła z niepokojem, jak Matt wspina się na dach. Przez następne pół godziny stukanie młotka mieszało się z pokrzykiwaniami dzieci. Jack starał się jeździć na rowerze, o wiele

dla niego za dużym. Bonnie porzuciła wózek i błagała go, by dał jej się przejechać. Charles starannie czyścił znaleziony szkielet z resztek futra, a Tori musiała przyznać, że doskonale rozumie malujący się na twarzy Hayley wyraz obrzydzenia.

W końcu Mart ostrożnie zszedł z drabiny.

- Potrzebuję kolejnej paczki gwoździ - oznajmił.

- Chyba udało mi się przymocować oderwany kawałek, ale gwoździe trzeba sprawdzić. W niektórych miejscach w ogóle ich brakuje. Dziwię się, że już wcześniej nie zalało ci piętra.

- Skąd wiesz, że zalało piętro?

Tori z podziwem patrzyła, jak Matt nie traci zimnej krwi wobec niespodziewanego pojawienia się Hayley tuż obok i wobec ukrytej w jej pytaniu sugestii.

- Tori mi mówiła - odrzekł obojętnym tonem. - A poza tym, jeśli w piętrowym domu przecieka dach, to chyba oczywiste, że zalane zostaje piętro, prawda?

- Zwrócił się do Tori. - Może później pokażesz mi dom?

Sprawdzilibyśmy, w których miejscach powstały zacieki. Dzięki temu będę wiedział, na jakie fragmenty dachu zwrócić szczególną uwagę.

Spostrzegła w jego oczach błysk rozbawienia i stłumiła uśmiech.

- Z przyjemnością pokażę ci dom. Kiedy sobie tylko zażyczysz.

Dzieci również chciały wszystko zobaczyć. Hayley poweselała na widok wnętrza domu.

- Wujku, tu jest prawie taki sam bałagan jak u mnie.

Tori zignorowała tę krytykę.

- Jestem już na tyle stara, że mogę sobie darować sprzątanie, kiedy trafia mi się coś ciekawszego do roboty.
 - Ile tu jest pokoi? - zapytał Charles.
 - Mam tu siedem sypialni i trzy łazienki.
 - I pół hektara dachu - dodał stojący obok Matt. Bliźniaki ze zdumienia otworzyły buzie.
 - I mieszkasz tu sama? Tori skinęła głową.
 - Teraz owszem.
 - Nie masz nawet chłopaka? - Hayley wzięła jedną ze świec z sypialni i powąchała ją podejrzliwie. Tori ruchem dłoni skierowała wszystkich do wyjścia. Miała nadzieję, że w pokoju nie został żaden ślad niedawnej bytności Marta.
 - Oczywiście, że mam chłopaka. - Zaczynały ją już męczyć uszczypliwe uwagi nastolatki. - A ty?
- Matt odchrząknął cicho.
- Kto jest głodny? - zapytał. - Przywiozłem chleb i ser. Możemy sobie zrobić kanapki, jeśli tylko Tori się zgodzi.
 - To brzmi bardzo kusząco. Umieram z głodu. Bonnie i Jack nie skończyli jednak śledztwa.
 - Mieszkałaś tu sama, kiedy byłaś małą dziewczynką?
 - Nie bałaś się duchów?
 - Nie mieszkałam sama, nie bałam się duchów - odrzekła ze śmiechem. - Jeśli nawet są tu jakieś duchy, to bardzo przyjazne, a kiedyś mieszkało tu bardzo dużo ludzi.
 - To znaczy, że masz dużo rodzeństwa, tak?

- Nie. Byłam jedynaczką, ale moja mama kochała dzieci, więc stworzyła dla nich rodzinę zastępczą.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że opiekowała się nimi, kiedy potrzebowały pomocy - wyjaśnił Mart. - To było coś w rodzaju adopcji, ale tylko na jakiś czas, a nie na zawsze.

- Czyli odsyłano ich gdzie indziej, jak były niegrzeczne? - Bonnie miała przerażoną minę. - Nie zrobisz nam tego, wujku, prawda?

Mart wziął dziewczynkę na ręce.

- Bonnie, ty zostałeś adoptowana. Tak samo jak Jack, Charles i Hayley. Teraz jesteście moimi dziećmi. Na zawsze. - Przytulił ją, pocałował w czubek głowy i postawił z powrotem na ziemi. - Ale to wcale nie oznacza, że możecie być niegrzeczni.

Chociaż Hayley udawała obojętność, Tori zauważyła, że rzuciła w jej stronę triumfujące spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: „On jest nasz i nic nie wskórasz”.

- Czasami rodzina zastępcza też staje się prawdziwą rodziną - wyjaśniła Tori, układając wyjęte z opiekacza kanapki. - Moja siostra Sara zamieszkała z nami, kiedy miała czternaście lat, ale już na zawsze zostaniemy siostrami.

- Jesteście jak bliźniaczki?

- Sas jest ode mnie dużo starsza. Mniej więcej tyle, co Hayley od ciebie. Kiedyś się mną opiekowała i starała się chronić mnie przed kłopotami.

- To musiała być ciężka praca. - Mart włożył do opiekacza następną partię kanapek i zamknął pokrywę. - To właśnie na ślub Sary pojechałem w tamten weekend, po tym, jak Jack złamał rękę.

- To ta, co brała ślub na wyspie? Na plaży, przy tej małej sadzawce wśród skał?
- To ona.
- Pojedziemy tam kiedyś, wujku? - Jack spoglądał na niego poważnie spod aureoli jasnych włosów. -Mógłbym sobie popływać. Bardzo proszę.
- No... - Matt spojrzał na Tori.
- Tutejsze plaże też są bardzo ładne i woda nadaje się do pływania - zauważyła. - Kiedyś codziennie pływałam, niedaleko stąd.
- Ojej! - wykrzyknęły chórem bliźniaki. - Możemy zobaczyć tę plażę?
- W lecie - zdecydował Matt. - Teraz jest za zimno na pływanie.
- Możemy tu jeszcze raz przyjechać, Tori? - prosiła Bonnie. - Pojeździłibyśmy na rowerze, poszlibyśmy popływać...
- Na przykład latem - dodał Jack. - Kiedy będzie ciepło.
- Jasne. - Uśmiechnęła się do Marta, by go upewnić, że zaproszenie jest szczere. W końcu do lata zostało jeszcze sporo czasu. Nie przeszkadzały jej dzieci buszujące po domu i ogrodzie, o ile nie zdarzało się to zbyt często. A zwłaszcza nie wtedy, gdy mogła być z Mattem. Bliźnięta wydawały się całkowicie usatysfakcjonowane.
- Tori jest fajna, prawda, wujku?
- Jeszcze jak. - Mrugnął do niej tak dyskretnie, że nikt tego nie zauważył. Z wyjątkiem jednej osoby. Tori podchwyciła spój-

rzenie Hayley, która najwyraźniej to spostrzegła. Postanowiła nie przejmować się i posłała uśmiech skwaszonej nastolatce. Na szczęście Hayley nie jest jej problemem i nigdy się nim nie stanie.

Mattowi pomagali rodzice, dzięki temu raz, czasami nawet dwa razy w tygodniu miał wieczór dla siebie.

Tori nie zrezygnowała całkowicie z pracy w szpitalu. Po otrzymaniu uprawnień do pracy w pogotowiu zachowała możliwość dyżurów na oddziale ratowniczym. W ten sposób miała większą kontrolę nad tym, gdzie i kiedy pracuje. Mogła brać sobie wolne dni, gdy Matt również nie pracował, a kiedy wyjeżdżała w teren z zespołem ratowniczym, mogła sobie wybrać tę samą bazę co on. Choć nie jeździli w tym samym zespole, widywali się bardzo często.

Dzięki temu łatwiej było podtrzymać tę tak cenną dla niej przyjaźń. Matt naprawdę znaczył dla niej o wiele więcej niż przyjaciel, ale nie chciała mu tego uświadamiać, by nie czuł, że ogranicza jego wolność. Przecież zawsze mógł spotkać kogoś, kto byłby gotów zająć się jego gromadką, a wtedy ona na pewno nie będzie stała mu na drodze.

Byli prawdziwymi przyjaciółmi i chciała się tym nacieszyć. Czas, który spędzali razem, w zupełności jej wystarczał.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

A może jednak nie? Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że tak bardzo ucieszył ją jego widok, kiedy karetka, którą jeździł, przyjechała do pomocy przy wypadku w porcie w Auckland?

Ranny spadł z platformy, z której naprawiał kadłub statku, i leżał teraz na dnie suchego doku w kałuży własnej krwi. Trudno było się do niego zbliżyć, ponieważ na skutek rany głowy stał się bardzo agresywny.

Wyniesienie go z doku po wąskiej, trzydziestometrowej żelaznej drabince było niemożliwe bez podania mu środka uspokajającego. A taki środek mógł podać tylko ratownik ze specjalnymi uprawnieniami, taki jak Matt. Tori nie widziała się z nim od trzech tygodni. W każdym razie nie sam na sam. Czasami mijali się w bazie lub na oddziale ratunkowym, ale nie mieli sposobności, żeby pobyć ze sobą. To spotkanie też nie było do tego okazją.

- Spadł z tej platformy - wyjaśniała Tori, wskazując w górę. - Kiedy przyjechaliśmy, miał osiem punktów w skali Glasgow. Teraz ma już dwanaście, ale nie mogliśmy założyć mu kołnierza ani dokładniej zbadać, bo jest agresywny.

Dzisiejszym partnerem Tori był John, młody pielęgn-

niarz mający niższy stopień uprawnień niż ona. Chociaż dobrze zbudowany, nie uchronił się przed ciosem pacjenta, kiedy usiłował podać mu tlen. Rozcierał teraz obolałą szczękę, patrząc, jak Joe usuwa butlę z tlenem poza zasięg rąk rannego.

- Nazywa się Snapper - oznajmiła Tori. - Jego koledzy twierdzą, że zwykle jest dość łagodny, chyba że wypije w pubie kilka piw. Grupka kumpli rannego zebrała się wokół, a dwóch starało się go unieruchomić.

- Poprośmy jeszcze dwóch, żeby nam pomogli - zaproponował spokojnie Mart. - Trzeba mu założyć wenflon i podać morfinę albo midazolam. Drogi oddechowe drożne?

- Tak. Dzięki temu nauczyłam się kilku nowych przekleństw. Koledzy Snappera mieli ciężkie zadanie, ale w końcu udało im się go przyprzeć do ziemi i okiełznać. Mart i Tori z trudem precyzyjnie się między nimi, by założyć kroplówkę. Mart zdezynfekował miejsce wkłucia.

- No, Snapper, trochę będzie swędziało, ale się nie denerwuj. - Jednak dotyk igły pobudził rannego do działania. Wyrwał się z uścisku kolegów i jednym silnym pchnięciem odrzucił od siebie Matta. Ten stracił równowagę i wylądował na Tori.

Przez chwilę zaskoczony leżał na niej w pozycji misjonarskiej, co wywołało pełne aprobaty i entuzjazmu okrzyki zgromadzonych wokół robotników portowych.

Dziwnie speszony Mart wstał szybko i starał się odzyskać panowanie nad sytuacją.

- Zastrzyk domięśniowy z midazolamu - zadecy-

dował. - Siedem i pół miligrama. — Uśmiechnął się do Tori. - Z przyjemnością wbiję mu igłę w odpowiednie miejsce.

Łatwiej było wcelować w umięśniony pośladek Snappera niż w żyłę na ramieniu. Środek zadziałał szybko i pogróżki Snappera oraz zapowiedzi, co zamierza zrobić z każdym, kto go dotknie, stawały się coraz bardziej bełkotliwe. W końcu przytrzymujący go koledzy odetchnęli z ulgą.

- Podajmy mu tlen i sprawdźmy saturację - nakazał Mart.

Po wykonaniu koniecznych badań wezwali straż pożarną, żeby pomogła wynieść rannego z doku.

Strażacy z robotnikami wciągali rannego na górę na specjalnych noszach, a Tori stała tuż obok Matta, czekając na zakończenie operacji. Kiedy wspomniała ich niefortunny upadek, uśmiechnęła się szeroko. Tak bardzo się za nim tęskniła, że nawet to przypadkowe zetknięcie sprawiło jej przyjemność.

Oderwała wzrok od noszy z rannym i zerknęła na Matta. Czy on również za nią tęsknił? Czy też poświęcał jej pierwszą myśl po przebudzeniu się i ostatnią przed zapadnięciem w sen? Czy i jemu zdarzało się fantazjować o ich wspólnych nocach? Matt spojrzał na nią, jakby wyczuł żar w jej oczach. W jego wzroku spostrzegła odbicie własnych pragnień.

- Mam nadzieję, że nic ci nie zrobiłem, kiedy na ciebie upadłem.

- Nic mi się nie stało. Wiedziałam, że duży biust kiedyś mi się przyda.

Joe parsknął radosnym śmiechem, ale Mart tylko jęknął cicho. Na szczęście nikt tego nie usłyszał.

- Świetnie sobie radzą, prawda? - Zmienił temat. - Za kilka minut i my będziemy musieli się wspiać po tej drabince.

Można by pomyśleć, że odzyskał profesjonalny spokój, ale Tori czuła, że narasta w nim napięcie. Uśmiechnęła się w duchu. Czyżby Mart odczuwał taką samą frustrację jak ona?

Nadszedł czas, by coś z tym zrobić.

Tego dnia ich ścieżki często się przecinały, ale nie mogli swobodnie porozmawiać, bo zawsze ktoś był w pobliżu. Kiedy przechodził obok jej karetki, w której właśnie zmieniała butlę z tlenem po przywiezieniu pacjenta z atakiem astmy, zapytała go:

- Jak się miewa twój tata? Matt zatrzymał się.

- Dzięki Bogu, wreszcie zaczyna dochodzić do siebie. Niestety nadal kaszle, a mama oczywiście się zamartwia.

- Cieszę się, że już mu lepiej.

- Ja też. - Zabrzęczał jego pager. - Do zobaczenia później!

- Mam nadzieję.

Kiedy odszedł, nie przestała się uśmiechać. To świetnie, że Bob zdrowieje. Trzy tygodnie wcześniej zachorował na grype, która przeszła w zapalenie płuc. Choroba ojca całkowicie zburzyła plany Marta. Dzieci nie mogły spędzać czasu w domu dziadków, a Linda nie chciała zostawiać Boba samego, więc nie mogła ich

pilnować. Matt wziął zwolnienie, nie mogąc dyżurować w nocy, a Hayley wcale się nie cieszyła, że musi opiekować się rodzeństwem podczas jego dziennych dyżurów. Poziom stresu w obu domach znacznie się podniósł. Tori zaoferowała pomoc, ale Matt odmówił jej przyjęcia.

- Ostatnia rzecz, o jakiej marzysz, to banda roz-wrzeszczanych dzieciaków. Bardzo dziękuję, Tori, ale jakoś damy sobie radę. Obiecuję, że w przyszłym tygodniu zrobię sobie wolny wieczór.

Pager Tori zabrzączał, kiedy wsunęła butlę z tlenem na miejsce przy drzwiach ambulansu. John tymczasem założył czystą poszewkę na poduszkę i położył ją na noszach.

- Casebrook Road - odczytała wiadomość Tori. - Czy to nie tam wezwano Marta i Joego?

Radio znów zatrzeszczało.

- Baza do Auckland 7. Pilne wezwanie. Potrzebne wsparcie dla Auckland 1. Kod czterysta.

- Zrozumiałam. - Tori zapięła pasy, a John włączył światła.

Kod czterysta oznaczał wypadek drogowy, więc Tori wyjęła odblaskową kamizelkę konieczną przy pracy na drodze i włożyła rękawiczki.

- Mam sprawdzić na mapie, gdzie jest Casebrook Road? - spytała Johna.

- Nie trzeba. Zrelaksuj się i miłej jazdy.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Niedługo zobaczy Marta, a to wystarczyło, by wprawić ją w dobry nastrój.

W minionym tygodniu Matt nie zdołał wyrwać się

z domu, ponieważ Hayley poprosiła go o pomoc w przygotowaniu do testu z matematyki. Tori podejrzewała, że to tylko chytry wybieg nastolatki, ale Matt uległ prośbom wychowawcy.

Tori nie była z tego zadowolona. Mieli się spotkać na dzień przed przyjazdem Sary, Bena i Phoebe. Siostra z rodziną miała u niej zabawić tylko dzień lub dwa, by przyzwyczać się do zmiany czasu przed rozpoczęciem urządzania nowego domu, ale pech chciał, że w transporcie zapodział się gdzieś kontener z meblami, więc musieli poczekać u Tori, aż się odnajdzie.

Trwało to już dziesięć dni. Oczywiście nie miała nic przeciwko gościom. Cieszyła się z powrotu Sary, a towarzystwo Phoebe okazało się bardzo przyjemnie. I dom nie wydawał się już taki pusty. Nie było powodu, z którego Matt nie mógłby jej odwiedzać podczas pobytu Dawsonów, i nawet spędzili razem jedno popołudnie. Było bardzo przyjemnie, ale przecież Tori nie mogła wyciągnąć go do sypialni w środku ożywionej rozmowy z Benem.

Zbliżali się do Casebrook Road. W oddali zobaczyła migające światła ambulansu Marta. Wzięła głęboki oddech.

Nagle to wszystko wydało jej się pozbawione sensu. Ma dwadzieścia pięć lat, jest wolna i niezależna. Powinna się bawić i używać życia, a nie wzdychać do mężczyzny obciążonego rodzinnymi obowiązkami.

Dlaczego czuła się jak „ta druga”, jakby miała romans z kimś, do kogo ze względów moralnych nie powinna nawet się zbliżyć? Dlaczego tak się czuła? Są

przecież tylko przyjaciółmi. A to, że fizyczny aspekt ich związku jest wyjątkowo udany, stanowi jedynie dodatkową atrakcję.

Zderzenie dwóch samochodów nie wyglądało zbyt groźnie, ale brało w nim udział kilka osób, więc rutynowo wezwano wsparcie. Policjant rozmawiał ze starszą kobietą, która wciąż siedziała za kierownicą. Joe zajmował się dwojgiem dorosłych, a Matt przykucnął przed płaczącym dzieckiem.

Zabandażował mu ramię, uśmiechnął się i wzburzył rudą czuprynę chłopca. Ten serdeczny dotyk wywołał niepewny uśmiech na piegowanej buzi malca.

Tori czuła, że na ten widok ścisnęło jej się serce. Wiedziała, jak miły potrafi być dotyk ręki Marta. Patrząc, z jaką delikatnością pociesza wystraszone dziecko, poczuła, że go... kocha. Kiedy sobie to uświadomiła, przez chwilę siedziała jak sparaliżowana.

Przecież nie miała tego w planach! To przecież ona zakreśliła granice ich przyjaźni i była pewna, że miłość nigdy jej się nie przydarzy.

Jak mogła być tak naiwna!

Matt dostrzegł jej jasne loki w zbliżającej się karetce. Joe skinął głową, dając tym gestem znak, że zbadani przez niego ludzie są w dobrym stanie. Starsza pani za kierownicą nie chciała dać się zbadać, twierdząc, że nic jej się nie stało, ale Matt instynktownie czuł, że należy się nią zająć.

Podszedł do samochodu.

W ten sposób oddalił się od Tori, która teraz rozmawiała z Joem, ale tak pewnie było lepiej. W jej obecności nie mógł się skupić. Dlaczego nie posłuchał

ostrzegawczego głosu, który mu mówił, że na przyjaźni się nie skończy? Od pierwszej rozmowy z Tori wiedział, że ona nie zamierza zajmować się cudzymi dziećmi. Owszem, rozumieli się doskonale i łączył ich niewiarygodnie udany seks, ale przecież i tak nie ma dla nich przyszłości. Sam to zaakceptował, do diabła! Powinien się cieszyć tym, co od niej dostawał. Ale to mu już nie wystarczało.

- Jak się pani czuje, pani Sanderson? - uśmiechnął się do zdenerwowanej kobiety. Rozmawiający z nią policjant właśnie zamykał notatnik.

- Nic mi nie jest. Zupełnie nie rozumiem, co się tutaj stało, ale to na pewno nie była moja wina. Nie przejechałam znaku stop bez zatrzymania się. Ja nie robię takich rzeczy. Jestem dobrym kierowcą.

Policjant spojrzał na Matta znacząco, a kobieta wybuchnęła płaczem.

- Będziemy w kontakcie, - pani Sanderson - oznajmił surowo i odszedł, potrząsając głową. Wszyscy świadkowie potwierdzali, że kobieta wjechała na skrzyżowanie, nie zatrzymując się przed znakiem stopu.

Mart ujął kobietę za nadgarstek i zauważył, że jej puls jest szybki i trochę nitkowaty.

- Już dobrze - uspokajał ją. - To bardzo niemiłe zdarzenie, prawda? Wyblakłe oczy spojrzały na niego trochę spokojniej.

- Ale to nie była moja wina.

- W tej chwili nie ma to znaczenia. Chcę się tylko upewnić, że nic pani nie jest. Takie przeżycie pozostawia ślad.
- To prawda. Jestem trochę roztrzęsiona - przyznała.
- Brakuje pani tchu?
- Troszeczkę.
- Czuje pani ból lub ucisk w piersi?
- Może lekki.
- Zawroty głowy?
- Nie czuję się dobrze. - Kobieta ściszyła głos. - Nie wiem, co mi jest, ale coś ze mną nie tak.
- Spróbuję się tego dowiedzieć. Zmierzę pani ciśnienie i osłucham. Czy na coś pani choruje?
- Mam za wysokie ciśnienie. I dusznicę bolesną.
- Używa pani leku w sprayu?
- Tak.
- Może powinna pani zażyć lek teraz? Kobieta zawahała się.
- Ale czy to będzie w porządku?
- Oczywiście.

Mart stwierdził, że ciśnienie krwi pacjentki wynosi dwieście dziesięć na sto czterdzieści pięć. Przy tak wysokim ciśnieniu jest całkiem prawdopodobne, że kobieta przeżyła atak niedokrwienia przejściowego, przez co nie zauważyła znaku drogowego.

- Mam ten spray w apteczce - powiedział. - Proszę unieść język, zaraz pani podam dawkę.

Tori i John zabrali swoich pacjentów do karetki i szybko odjechali.

Mattowi tymczasem udało się namówić panią Sanderson na wizytę w szpitalu, gdzie mogła przejść dokładniejsze badania diagnostyczne.

Odwożąc pacjentów do szpitala, nie mógł przestać myśleć o Tori. Życie byłoby o wiele prostsze, gdyby się nie spotkali. Być może nie byłby tym samym człowiekiem, ale miałby więcej spokoju. Tak, dzięki Tori czuł, że wreszcie jest w pełni sobą. Na samą myśl o tym, że mógłby nie zaznać jej przyjaźni, ogarniał go strach i poczucie pustki.

Czuł, że nie wystarczają mu przelotne spotkania w pracy, uśmiech w biegu, spojrzenie niebieskich oczu. Ale nawet to sprawiało, że serce zaczynało mu bić mocniej.

Dojechał do szpitala z mocnym postanowieniem, że za wszelką cenę zorganizuje jeszcze dziś spotkanie z Tori.

Spotkali się w bazie kilka minut przed końcem zmiany.

- Dzwoniłeś do mamy?

W jego uśmiechu było lekkie poczucie winy.

- Zgodziła się zostać z dziećmi. Nie powiedziałem jej, po co mi ten wolny czas. Pewnie doszła do wniosku, że mam jakąś zaległą robotę.

- Ja też nie powiedziałam Sarze, dlaczego się spóźnię. Powiedziała, że poczekają z szampanem, aż wrócę.

- A więc to pewne, że Ben dostanie etat konsultanta?

Tori z zadowoleniem skinęła głową.

- Tak, i to w szpitalu Royal North Shore, najbliższym jego domu.

Wspaniale, prawda?

- Jeszcze wspanialsze jest to, że wreszcie spędzimy

dwie godziny sami - powiedział, przepuszczając ją w drzwiach. Kiedy go mijala, dotknął ustami jej włosów. Weszli na parking.

- Ale gdzie pojedziemy? - W jej oczach pojawiły się psotne iskierki. - Pewnie nie masz ochoty na kawę?

- O nie! - prychnął rozbawiony. - Mam ochotę na coś zupełnie innego. Patrzyli na siebie znacząco.

- Oho! To wygląda bardzo poważnie - zauważył Joe, mijając ich. - Czy powinienem czegoś się dowiedzieć?

- Chyba tego, że mam szczęście - odparł Mart. Joe potrząsnął głową.

- No jasne! I wiecie, chyba już najwyższy czas, żebyście przestali się ukrywać. Przynajmniej ja tak uważam.

Tori wzięła głęboki oddech.

- Powiedziałaś mi o nas? - spytała Marta, kiedy Joe się oddalił.

Mart potrząsnął głową.

- Zawsze wszystkim mówię, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

- Ja mówię to samo.

- Może to po prostu po mnie widać. Bardzo się za tobą stęskniłem.

- Ja za tobą też...

- Mamy dwie godziny.

- Nie możemy jechać do mnie. To za daleko, a poza tym są tam Sara, Ben i Phoebe.

- U mnie jest jeszcze tłoczniej. - Uśmiechnął się trochę smutno. - Co zrobimy? Zaparkujemy na plaży?

- Jak nastolatki? - Roześmiała się, ale zaraz spoważniała. - Bardzo mnie ta sytuacja denerwuje.

- Wskakuj. - Matt otworzył drzwi swojego samochodu.

- Dokąd jedziemy?

- Zobaczysz.

Zatrzymali się po kilku minutach. Tori ze zdumienia otworzyła szeroko oczy, a potem zachichotała.

- Chyba żartujesz.

- Nic podobnego.

- Motel?

- A przychodzi ci do głowy jakieś inne miejsce?

- Ale jesteśmy w służbowych strojach.

- Jeśli chcesz to ukryć, w bagażniku mam kurtkę Hayley. Ale przecież nie robimy nic złego.

Motelowy pokój był anonimowy, ale po tak długiej abstynencji nie robiło im to różnicy. Natychmiast zaciągnęli zasłony, zamknęli drzwi na klucz i rzucili się sobie w ramiona. Zaczęli się rozbierać tak pośpiesznie, że aż niezdarnie, co doprowadziło oboje do śmiechu. Kiedy jednak spojrzeli sobie w oczy, spoważnieli.

Nagle zniknął pośpiech i niecierpliwość. W ich oczach było nie tylko pożądanie, ale też coś głębszego. Tori zrozumiała, że Matt kocha ją tak samo mocno, jak ona jego. Teraz, przez te dwie godziny, tylko to się liczy.

Znali już doskonale swoje ciała, ale to było pierwsze miłosne spotkanie, odkąd Tori zrozumiała, co czuje do Marta. To nie była jedynie niezobowiązująca przyjemność, wzajemne dawanie sobie zadowolenia. Ich zwią-

zek stał się częścią jej życia, częścią duszy, bez której nie potrafiłaby już istnieć.

Kiedy nasyceni leżeli w swych objęciach, zdobyła się na odwagę i powiedziała:

- Chyba się od ciebie uzależniłam, Matt. Już dłużej bym nie wytrzymała.

Przyciągnął ją do siebie bliżej.

- Wiem coś o tym. Przez te ostatnie trzy tygodnie myślałem, że oszaleję.

- Ale to przecież jakiś absurd. Spotykamy się w motelu, jakbyśmy mieli potajemny romans.

- Kiedy przyjadą meble twojej siostry, wrócimy do dawnych zwyczajów. Będę cię odwiedzał.

- Ale to nadal będzie dziwne. Wykradamy ukradkiem wolne chwile i uważamy, żeby nikt się nie domyślił, że jesteśmy czymś więcej niż przyjaciółmi.

- A jesteśmy? - zapytał cicho.

- Gdybyśmy byli tylko przyjaciółmi, nie miałyby dla nas znaczenia, że nasze życie jest takie skomplikowane albo że widzimy się jedynie w pracy. Gdybyśmy spotykali się tylko dla rozrywki, cieszylibyśmy się wspólnymi chwilami, ale nie martwilibyśmy się, że jest ich tak mało.

- Ostrzegałem cię. Wiedziałem, że łatwo mogę się w tobie zakochać.

- Ale ja nie sądziłam, że się zakocham w tobie. - Odsunęła się nieco i spojrzała mu w twarz. Dotknęła lekko jego policzka. - To prawdziwa katastrofa.

Mina Matta świadczyła o tym, że wcale nie jest przerażony.

- Chcesz powiedzieć, że mnie kochasz? Och, Tori, tak mi przykro...
- Dlaczego?
- To znaczy, tak naprawdę nie jest mi przykro, przynajmniej nie ze względu na siebie. Nie chciałem tylko, żeby nasz związek cię zranił.
- Może tak się nie stanie. Może uda nam się jakoś wszystko ułożyć.
- Ale jak?
- Chyba Joe ma rację. Powinniśmy się ujawnić. Niech ludzie wiedzą, co do siebie czujemy. Wtedy nie będzie miało takiego znaczenia, że rzadko widzimy się na osobności. Nawet jeśli wokół będą nasze rodziny, to co z tego?
- Boję się, że dzieci bardzo szybko doprowadziłyby cię do szału.
- Toteż nie zamierzam z tobą zamieszkać. Tamtego dnia, kiedy naprawiałeś dach, wcale mi nie przeszkadzały. Wolę być z tobą w ich towarzystwie, niż nie widywać cię wcale.
- Ale Hayley pewnie będzie nieprzyjemna. Może cię całkiem do mnie zniechęcić.
- Ty też możesz się do mnie zniechęcić, jeśli będziesz spędzał więcej czasu w moim towarzystwie.
- Wątpię. - Pocałował ją w policzek. - Nigdy nie będę miał cię dosyć, skarbie.
- Przekonajmy się.
- No to jak? Ujawnimy się?
- Jasne.
- Nadal mam wątpliwości. Nie chcę, żeby dzieci cię wystraszyły. Za bardzo mi na tobie zależy.

- Jestem twardsza, niż się wydaje. Zniosę docinki Hayley. A może moja osoba wcale nie będzie jej przeszkadzała. - Tori uśmiechnęła się pogodnie. - Przecież nie zamierzam wyjść za ciebie za mąż ani nic w tym rodzaju.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Pobierzecie się z wujkiem Mattem?
- Bonnie, jeśli dwoje dorosłych łączy bardzo bliska przyjaźń, to wcale nie znaczy, że się pobiorą.
- Ale jesteś jego dziewczyną, prawda?
- Tak, Jack. - Nie mogła powstrzymać uśmiechu, patrząc na pozornie anielską twarzyczkę chłopca. Siedziała z bliźniętami na schodach domu Marta. - Fajnie, prawda?
- No! - Jack potrząsnął blond lokami. - Czy to znaczy, że czasami będziemy mogli się bawić w twoim domu?
- Oczywiście.
- I pójdziemy na plażę popływać?
- Jasne.
- A będziemy mogli u ciebie przenocować?
- Być może. - Tori nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. - Musicie spytać wujka Marta.
- Ale przecież masz dużo łóżek.
- To prawda. Teraz jednak mam gości.
- Kogo?
- Mieszka u mnie moja siostra Sara ze swoim mężem Benem i małą córeczką, Phoebe. Sara niedługo będzie miała dziecko.
- Czy też będziesz miała niedługo dziecko, Tori?

- Bonnie! - rozległ się przerażony głos we wnętrzu domu. - Nie zadaje się takich pytań.

- Ale ja chcę wiedzieć - upierała się dziewczynka. - No więc jak?

- Nie, kochanie. Na razie chcę się nacieszyć dzieckiem Sary. Po raz pierwszy zostanę ciocią.

- Gdybyś wyszła za wujka Marta, zostałabyś naszą ciocią - poinformował ją Jack, przybierając poważną minę.

- To prawda. - Tori wstała. - Mart! Pomóc ci w kuchni? - zapytała, starając się telepatycznie nakłonić go, by skorzystał z jej oferty.

- Oczywiście - odrzekł. - A wy dwoje zabierzcie się za odrabianie lekcji. Później sprawdzę wam zeszyty.

- Ale...

- Żadnych ale - rzekł stanowczo. - Tori wam dzisiaj nie pomoże. Jest mi potrzebna w kuchni. - Zniżył głos. - Gdzie czeka na nią kieliszek wina.

- Matt, jesteś moim bohaterem. Nie wiedziałam, co im odpowiedzieć. - Z uśmiechem patrzyła, jak bliźniaki niechętnie biorą tornistry. - Fajne dzieciaki, prawda?

- Zawsze takie były. - Jego pogodny uśmiech zniknął, kiedy z salonu dobiegły ich podniesione głosy. Bliźniaki spojrzały na niego z niepokojem. - Wszystko w porządku - zapewnił. - Zaraz to załatwię. Ruszył do salonu, a Tori podążyła za nim. Hayley stała ze splecionymi ramionami i obrażoną miną, Charles trzymał nieco zgniecione pudełko po butach i widać było, że ma ochotę się rozplakać.

- Co się dzieje? - zapytał Matt.

- Połamala mi to! - oskarżycielsko powiedział chłopiec.
- Hayley westchnęła wymownie.
- Ale niechący.
- Wcale nie!
- Zostawiłeś to na podłodze, na środku pokoju, kretynie!
- Nie zostawiłem. Specjalnie na to nadepnęłaś. Specjalnie!
- Wystarczy. - Matt stanął między kłócącym się rodzeństwem i z troską spojrzął na Charlesa. Chłopiec zwykle zachowywał się bardzo powściągliwie, więc musiało stać się coś rzeczywiście strasznego. - Co się popsuło?
- Mój... mój...
- Ten idiotyczny, obrzydliwy szkielet szczura - wyręczyła go Hayley.
- Chciałem go jutro wziąć do szkoły. Przygotowuję projekt na lekcję przyrody.
- Fuj! Kto by to chciał oglądać!
- Hayley, wystarczy. - Matt nie podniósł głosu, ale ton ostrzeżenia był wyraźny. - Przepróż Charlesa, a potem idź do swojego pokoju.
- Hayley otworzyła usta, by zaprotestować, ale nagle jej spojrzenie powędrowało w stronę Tori. Potrząsnęła pogardliwie głową.
- Mam to gdzieś - warknęła i wyszła, trzaskając drzwiami.
- Przykro mi, stary - powiedział Matt do chłopca. - Nie wiem, czy to było celowe, czy nie, ale na pewno niedobrze, że tak się stało.

- To wina Hayley. Nienawidzę jej.
- Jej życie wcale nie jest teraz łatwe. Zobaczysz, że w przyszłości będzie dla ciebie dużo miłsza.
- Kiedy?
- Może jak skończy osiemnaście lat? - Wymierzył mu żartobliwego kuksańca. - Jak myślisz, wytrzymamy do tego czasu? Zwłaszcza jeśli będziemy się wspierać jak facet z facetem?
- Tori uśmiechnęła się, widząc podziw w oczach małego okularnika.
- Wytrzymamy - przytaknął Charles.
- Matt zajął do pudełka i ponuro pokiwał głową.
- Pewnie nie wiesz, ale w którymś z tych pudeł w garażu jest ludzki szkielet, który twój tata kupił, kiedy jeszcze studiował medycynę. Może ci się przyda:
- Oczy Charlesa rozszerzyły się ze zdumienia.
- Prawdziwy szkielet?
- No nie, plastikowy - wyjaśnił Matt. - Ale wygląda zupełnie jak prawdziwy, jest naturalnej wielkości. Ma chyba stojak i haczyk w czaszce, więc można go zawiesić. - Uśmiechnął się do Tori. - Może potem go poszukamy i zabierzesz starego Jonesy'ego do szkoły?
- Charles przerzucił zawartość pudełka.
- Ale ten szkielet bardzo mi się podobał.
- W sobotę albo niedzielę możesz znów przeszukać moją stajnię - zaproponowała Tori. - Może znajdziesz drugi taki sam. Kiedy ma być gotowy ten projekt?
- W przyszłym tygodniu.
- No to może wujek przywiezie cię do mnie w sobotę?

- Niestety, w sobotę pracuję - wtrącił Matt.
 - W takim razie ja po ciebie przyjadę, jeśli chcesz. W oczach Charlesa na chwilę zabłysło zainteresowanie, ale zaraz zgasło.
 - Sam nie wiem-wymamrotał i zerknął z ukosa na Matta. - Mogę najpierw zobaczyć Jonesy'ego?
- Podczas posiłku Hayley siedziała z naburmuszoną miną, grzebiąc widelcem w talerzu i krzywiąc się niechętnie, ilekroć ktoś się do niej odezwał.
- A wiecie, że po to, żeby się skrzywić, trzeba uruchomić dwa razy więcej mięśni niż przy uśmiechu? - rzucił Matt.
 - Naprawdę? - odparła Tori. - Muszę to sobie zapamiętać. Przyda mi się, jak się będę chciała odchudzać.
- Hayley spojrzała na nią wrogo.
- Chcesz powiedzieć, że jestem gruba?
 - Wcale nie. Chciałabym choć w połowie tak zgrabnie wyglądać w dżinsach jak ty.
 - Wyglądasz bardzo zgrabnie w dżinsach - stwierdziła Bonnie.
 - Jeszcze jak! - dodał Matt. Charles lekko się zaczerwienił, a bliźniaki zachichotały. Hayley odepchnęła od siebie talerz i gwałtownie wstała.
 - Litości! - jęknęła.
 - Siadaj. Nie skończyłaś kolacji.
 - Więcej nie dam rady. - Znacząco spojrzała na Tori. - Muszę odrobić lekcje. - Jej głos przybrał ironiczny ton. - Czy mogę wstać od stołu, wujku? Bardzo proszę.

- Dobrze. - Matt zignorował jej demonstracyjne wyjście i uśmiechnął się do bliźniaków. - Coś ciekawego zdarzyło się dzisiaj w szkole? Paplanina dzieci pozwoliła zapomnieć o nieprzyjemnym incydencie z Hayley. Po kolacji Tori pozmywała naczynia, a Matt z Charlesem przeszukali garaż. Gdy wrócili, zaczęło się ściemniać, więc Matt oznajmił bliźniakom, że pora spać.

- Ale my nie jesteśmy zmęczeni!

- Minęła siódma trzydzieści - nie ustępował. - Wiecie, co to znaczy. -

Ruszył w stronę dzieci, a one z krzykiem rozbiegły się po pokoju.

Tori z rozbawieniem patrzyła na powtarzającą się co wieczór gonitwę i próby schwytania dwojga bardzo zręcznych siedmiolatków. W końcu Matt pochwycił oboje i zaniósł je do ich pokoju, trzymając jedno wyrwijające się dziecko pod każdym ramieniem.

Pół godziny później do łóżka poszedł Charles, ale Hayley uparła się, że chce oglądać swój ulubiony program, który miał się skończyć za kwadrans dziewiąta.

- Odniosła swoje małe zwycięstwo - wyjaśnił Matt, kiedy wreszcie zostali z Tori sami w salonie. - Charles powiedział, że jednak go przeprosiła, kiedy nikt nie słyszał.

Siedzieli razem na kanapie.

- Świetnie sobie z nimi radzisz.

- Staram się, jak mogę.

- Doskonale ci to wychodzi. Zupełnie bym nie wiedziała, jak postępować z Hayley. Ty natomiast wiesz, kiedy ustąpić. Gdybyś ją zmusił, żeby przeprosiła

Charlesa, te przeprosiny niewiele by znaczyły. - Położyła mu głowę na ramieniu. - Kiedy tak patrzę na ciebie i dzieci, widzę twoją drugą twarz. Objął ją mocno i pocałował. Pocałunek, choć spodziewany, sprawił jej wielką przyjemność, tym większą, że musieli z nim poczekać, aż dzieci pójda spać. Żałowała, że nie mogli teraz iść razem do łóżka, ale nie byłoby to fair wobec dzieci. Tori nie chciała, by zbyt przyzwyczaiły się do jej obecności, ponieważ wtedy cierpiałyby przy jej rozstaniu z Mattem.

Dzisiejsza rozmowa z bliźniakami nieco ją zmartwiła. Minęły dwa tygodnie, odkąd ujawnili łączący ją z Mattem związek, i nie tylko dzieci dawały do zrozumienia, że spodziewają się utrwalenia łączących ich więzi.

Kiedy w zeszłym tygodniu Tori została zaproszona na kolację przez państwa Buchanan, Linda objęła ją na powitanie ciepło i serdecznie jak rodzona matka. Sara często zerknęła na nią z domyślnym uśmiechem. Takim samym uśmiechem przywitała ją, gdy Tori wreszcie dotarła do domu.

- Kochasz go - poinformowała siostrę z satysfakcją, po wysłuchaniu opowieści o minionym wieczorze.

- No przecież wiesz, że się spotykamy.

- Ale to jest prawdziwa miłość. Nie zrezygnujesz z niego, bez względu na to, czy ma dzieci, czy nie. Już najwyższy czas, żeby ten dom znów się zapełnił. Carol byłaby zachwycona.

- Tak się nie stanie. - Tori poczuła, że przebiegają dreszcz. Czyżby to była panika? - Zresztą to nie jest tylko mój dom. Nie pamiętasz?

- Jeśli o mnie chodzi, to jest - odrzekła Sara. - Wkrótce wyprowadzamy się z Benem do siebie. Aha, meble na pewno dotrą jutro, więc w środę już nas tu nie będzie.

Ta wiadomość wcale nie ucieszyła Tori.

- Będzie mi ciebie brakowało, Sas.

- Przecież zamieszkamy niedaleko. Poza tym, wreszcie będziesz mogła zapraszać Marta do siebie.

- A, to jest ważny argument - zgodziła się Tori.

Wszystko układało się świetnie przez następne dwa tygodnie. Jednak któregoś wieczoru, który spędzali razem, o dziesiątej zadzwonił telefon Marta. Tori leżała tuż obok, więc wyraźnie słyszała zdenerwowany głos Lindy.

- Hayley nie ma w domu.

- Co? Przecież już dziesiąta!

- Właśnie. Poszłam do pokoju bliźniaków i zauważyłam, że drzwi do jej sypialni są otwarte. Łóżko jest puste.

- Dzwoniłaś do niej na komórkę?

- Włącza się poczta głosowa. Zostawiłam jej kilka wiadomości.

- Już jadę. - Mart wstał, przez co Tori nie słyszała już głosu Lindy. - Nie - rzekł stanowczo kilka sekund później. - Nie budź taty i oczywiście zostań w domu z resztą dzieci. Za dwadzieścia minut będę. Zadzwoń, jeśli się zjawi.

- Jadę z tobą - powiedziała Tori.

- Na pewno chcesz?

- A ty nie? Jeśli sądzisz, że tak będzie lepiej, to

zostanę. To oczywiste, że Hayley zniknęła, bo wie, że jesteś ze mną. To ja jestem główną przyczyną problemu, nie?

Matt, który właśnie zapinał koszulę, znieruchomiał.

- Sądzę, że Hayley właśnie przekroczyła pewną granicę. Musi zrozumieć, że nie pozwolę jej sobą manipulować. Jeśli ze mną pojedziesz, komunikat będzie jasny. - Uśmiechnął się lekko. - Poza tym, przyda mi się wsparcie.

- No to postanowione. - Tori szybko wciągnęła dżinsy i sięgnęła po buty.

- Mam nadzieję, że nic jej się nie stało. W końcu to prawie dziecko. Gdzie mogła pójść?

- Pewnie jest u którejś z koleżanek. Podejrzewam, że kiedy dojedziemy na miejsce, będzie w domu. Gdyby nie to, że mama tak się martwi, wcale bym się nie śpieszył. - Ponuro potrząsnął głową i zdmuchnął płomień świecy. - Już ja sobie z nią porozmawiam.

- Nie mogłam spać, więc poszłam na spacer. O co tyle krzyku?

- Masz piętnaście lat, Hayley. Bez pozwolenia nie wolno ci wychodzić wieczorem z domu.

- Niedługo skończę szesnaście. Nie jesteś moim ojcem i nie możesz mi rozkazywać.

Matt w milczeniu patrzył jej w oczy. Hayley pierwsza spuściła wzrok.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo babcia się o ciebie martwiła?

- Potrafię zadbać o siebie.

- Właśnie udowodniłaś, jaka jesteś nieodpowie-

działna. Kiedy cię znaleźliśmy, siedziałas na ławce w parku. O jedenastej w nocy! Sama. Czy ty masz pojęcie, jakie to niebezpieczne? Dziewczyna prychnęła lekceważąco. Wszyscy siedzieli wokół kuchennego stołu w domu Matta. Linda nadal ścisnęła w dłoni zmiętą chusteczkę i wycierała zaczerwienione oczy. Tori ze smutkiem zdała sobie sprawę, że nie można dłużej obciążać jej obowiązkiem opieki nad dziećmi. Ma wystarczająco dużo zmartwienia z Bobem, który powoli dochodzi do zdrowia.

Gdy Hayley zobaczyła, że Matt przyjechał po nią do parku w towarzystwie Tori, jej mina dobitnie zdradziła niechęć do przyjaciółki wujka. Bez wątpienia zachowanie nastolatki miało na celu zwrócenie na siebie jego uwagi i odsunięcie od niego Tori. Czy Matt miał rację, myśląc, że jeśli dziewczyna się przekona, że nic nie wskóra, to zaakceptuje to, co nieuniknione? Tori wcale nie była tego pewna. Ale przecież Matt o wiele lepiej radzi sobie z dziećmi. Sama to przyznała. Wiedziała tylko, że nie chce go stracić.

Matt zerknął na zegarek.

- Idź spać, Hayley.

Dziewczyna wstała ze spuszczoną głową. Jej wahanie świadczyło o tym, że spodziewa się większej kary. Nie zawiodła się.

- Masz areszt domowy - zdecydował Matt. - Przez tydzień będziesz wychodziła tylko do szkoły. I na tydzień konfiskuję ci telefon.

Kara okazała się bolesna. Hayley wyprostowała się i spojrzała na niego zaczepnie.

- Nie możesz tego zrobić.

- Przekonasz się.

- Nie! - Omal nie tupnęła nogą. - Nie pozwolę ci zabrać mojej komórki. Nie jesteś moim ojcem i nie muszę robić tego, co mi każesz.

Matt wstał i stanął z nią twarzą w twarz.

- Nie, nie jestem twoim ojcem. Bardzo żałuję, że go nie ma. I że nie ma z nami twojej mamy. To bardzo smutne, że nie mogą tu być, bo wiem, jak bardzo cię kochali.

Tori poczuła, że coś ją ściska w gardle na widok bólu, jaki malował się na twarzy Matta. Linda pociągnęła nosem i sięgnęła po świeżą chusteczkę.

- Staram się, jak potrafię - ciągnął. - Robię to, bo kochałem twoich rodziców. I ciebie też kocham.

Hayley wbiła wzrok w podłogę i przygarbiła się.

- Nie jestem twoim ojcem - powtórzył Matt - ale niestety jestem twoim najbliższym krewnym, który może zająć jego miejsce. Dalej będę się starał jak najlepiej go zastąpić, ponieważ obiecałem, że to zrobię, a ja dotrzymuję słowa.

Umilkł na chwilę i wziął głęboki oddech.

- Kocham cię, Hayley, ale kocham też Tori. To zupełnie inny rodzaj miłości i wcale nie zagraża moim uczuciom do ciebie i twojego rodzeństwa.

Stawiając sprawę w ten sposób, Matt wiele ryzykował. Co prawda Linda z aprobatą kiwała głową, ale jeśli Hayley nie zechce zaakceptować takiego stanu rzeczy, będzie to miało wielki wpływ na związek Matta i jego podopiecznych. Widać było jednak, że Matt był gotów podjąć to ryzyko.

- Robienie przykrości Tori może ją do mnie znie-

chęć, i pewnie o to ci chodzi - ciągnął Matt. - A nie chciałbym, żeby tak się stało.

Emocje w jego głosie sprawiły, że Tori nie mogła dłużej milczeć.

- Nic takiego się nie wydarzy - zapewniła. - Przecież ja też cię kocham.

Zapomniałeś?

Matt spojrzał jej w oczy.

- Wystarczająco dosyć, żeby zaakceptować moją rodzinę? W przyszłości będę miał na głowie jeszcze kilkoro nastolatków.

- Wystarczająco.

Popatrzyli na Hayley. Czy ta rozmowa udowodniła jej, że nie zdoła wygrać? Czy wypowiedziane przez Matta słowa o miłości poruszyły ją tak samo jak Tori? Dziewczyna dalej stała ze spuszczoną głową.

Kiedy Matt zwrócił wzrok na Tori, zobaczyła w jego oczach miłość.

Nagle przestało mieć znaczenie to, że nie są sami. Miała wrażenie, że oprócz nich dwojga nie istnieje nic.

- Czy kochasz mnie tak mocno, żeby wyjść za mnie za mąż? - zapytał

Matt niemal szeptem.

Uśmiechnęła się przez łzy.

- Tak, tak mocno, a może nawet bardziej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Charakter człowieka nie zmienia się jak za naciśnięciem guzika. Nagła zmiana zachowania, jaka nastąpiła u siostrzenicy Matta, wzbudziłaby podejrzenia nawet najbardziej ufego człowieka pod słońcem.

- Hayley coś knuje - ostrzegła Matta Tori. - Czuję to.

- Rzeczywiście, odkąd się zaręczyliśmy, jest wyjątkowo grzeczna. - Urwał i potrząsnął głową. - Chyba nikt nie potrafiłby udawać przez dwa tygodnie, co?

- To zależy od motywacji. - Tori spojrzała przez okno na Hayley siedzącą na trawniku, z telefonem przy uchu. - Mam przeczucie, że chce uśpić naszą czujność.

- A może po prostu zmądrzała? Przyjęła do wiadomości, że istnieją granice mojej tolerancji. - Odłożył ścierkę, którą wycierał naczynia, i objął Tori. - Martwisz się? Może żałujesz, że wzięłaś sobie na głowę tę gromadę dzikusów?

Tori pocałowała go czule.

- Nic podobnego. Im częściej o tym myślę, tym bardziej mi się ten pomysł podoba. Może odezwały się we mnie geny? Mój dom po prostu domaga się mieszkańców. No i poza tym, jeśli dotąd nie zauważyłeś, kocham cię.

- Nie oczekuję, że będziesz dla nich matką. Ja biorę

za nie całkowitą odpowiedzialność. Jeśli Hayley znów zacznie sprawiać kłopoty, zajmę się tym. Obiecuję ci.

- Bliźniaki to sama słodycz - odrzekła Tori. - Kocham je do szaleństwa. A Charles już powoli zaczyna wychodzić ze skorupy. To dobry dzieciak.

- Dzięki tobie poczuł, że jest kimś wyjątkowym. Zobacz. - Oboje odwrócili się do okna.

Charles siedział pod drzewem i ze skupioną miną ćwiczył ułożenie palców na strunach gitary.

- Dałaś mu wspaniałą motywację do pilnej nauki gry na gitarze - stwierdził Matt.

Tori roześmiała się.

- Nie wyznaczajmy daty ślubu, dopóki nie nauczy się dobrze grać piosenki, którą wybierze na uroczystość.

Hayley weszła do kuchni, więc odsunęli się od siebie, chociaż dziewczyna była tak pogrążona w rozmowie, że wydawała się niczego nie dostrzegać.

- Widziałaś, co ona miała na sobie? Coś jej się chyba pomyliło! - Hayley przez chwilę słuchała, potem dramatycznie westchnęła. - Nie wiem.

Pozwolił mi iść, ale chyba i tak nie pójdę, bo nie mam się w co ubrać.

- Położę bliźniaki spać - powiedział Matt i wyszedł.

Po chwili Hayley zakończyła rozmowę.

- Gdzie nie pójdziesz z powodu braku czegoś odpowiedniego do ubrania?

- zapytała ją Tori.

- W piątek organizują w szkole dyskotekę.

- Może Matt pojedzie z tobą na zakupy?

- Czy ja wiem...

- Dlaczego nie?
- To przecież facet, nie? - Ton dziewczyny wskazywał, że wątpi w inteligencję Tori. - Nie będę kupowała ciuchów z facetem!
- Jasne. - Tori uśmiechnęła się.
- Ty pewnie nie chciałaś ze mną iść... - powiedziała dziewczyna.
- Gdzie? Na dyskotekę?

Hayley spojrzała na nią z niedowierzaniem, ale po chwili zorientowała się, że Tori żartuje.

- Na zakupy - wyjaśniła krótko.
- Chcesz, żebym ci pomogła coś wybrać? Dziewczyna wzruszyła ramionami.
- No tak. Wiem, do których sklepów chcę iść, wiem, jakie ciuchy chcę zobaczyć. Niektóre są markowe. Wujek nigdy by tego nie zrozumiał. Zaraz by powiedział, że za drogie, czy coś w tym rodzaju.
- Porozmawiam z nim, jeśli sobie życzysz - zaproponowała Tori. - Wy tłumaczę mu, że właściwy ciuch nigdy nie jest za drogi.
- Co jest za drogie? - Matt wszedł do kuchni. -Czyżbym przerwał jakąś ważną rozmowę?
- Takie tam babskie pogaduszki - wyjaśniła Tori.
- Na bardzo poważne tematy. Na przykład o tym, w co się ubrać na dyskotekę.
- Mam nadzieję, że nie będę musiał iść na zakupy?
- z jękiem zapytał Matt.
- Tori obiecała, że ze mną pójdzie - poinformowała go Hayley, niezupełnie zgodnie z prawdą.
- Dopilnuję, żebyśmy nie kupiły niczego, co kosztuje majątek - obiecała Tori.

- Zgoda. Idźcie i dobrze się bawcie. Ja płacę.
- Nie wolałabyś iść z koleżankami? - zapytała Tori. - I z kartą Marta?
- Zaraz, zaraz! - zaprotestował Matt. - Ten pomysł mi się nie podoba.
- Mnie też nie - odrzekła dziewczyna. - Chcę iść z Tori. Bardzo proszę.
Czy mogła nie skorzystać z okazji budowania więzi ze zbuntowaną nastolatką?

- Oczywiście. W środę jestem wolna.

- Świetnie. - Tori jeszcze nigdy nie widziała Hayley tak zadowolonej. -
Dzięki.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Ta przyjemność trwała już półtorej godziny. Hayley zachowywała się rozsądnie i z umiarem. Najpierw odwiedziła wszystkie interesujące ją sklepy, dokonała wstępnej selekcji i dopiero potem zastanawiała się nad ostateczną decyzją. Jedyne drobne nieporozumienie powstało z powodu pary dżinsów. Kiedy Tori zobaczyła metkę z ceną, roześmiała się w głos.

- Trzysta dolarów! Nie ma mowy!

- Ale to dobra firma - upierała się Hayley. - I świetnie leżą.

- Przymierz jeszcze raz tę drugą parę. Wyglądają prawie tak samo, a są o połowę tańsze.

Minutę później drugie dżinsy zostały przerzucone przez zasłonę w przymierzami.

- Mogą być - zgodziła się łaskawie Hayley. Tori podniosła spodnie z ziemi. Chyba jednak nigdy

nie zaprzyjaźni się z wychowanicą Marta. Na dziś miała już dość wspólnych zakupów.

- Więc kończymy? - zapytała. - Kupiłaś już dwie bluzki.

- Niech będzie. Zapłać za nie, a ja tymczasem się przebiorę. - Hayley wystawiła nos przez szparę w zasłonie. - Zostaw tu resztę toreb, będę miała na nie oko.

Kiedy wychodziły ze sklepu, rozległ się sygnał alarmowy. Tori spojrzała na torby z zakupami w rękach Hayley i w głębi duszy jęknęła z rezygnacją. Czyżby dziewczyna tak bardzo pragnęła tych drogich dzinsów, że ukryła je w torbie z kupionymi wcześniej rzeczami? Dwóch ochroniarzy podejrzliwie przyglądało się Hayley.

- Proszę otworzyć torby - polecili jej.

- To jakaś pomyłka! - zaprotestowała natychmiast.

- Nigdy bym niczego nie ukradła.

- Mamy wszystkie paragony - zapewniła Tori. -Może kasjerka zapomniała usunąć zabezpieczenie?

Ochroniarze przeszukali torby dziewczyny i zwrócili się do Tori:

- Panią też proszę o pokazanie torebki.

- Słucham? A tak, oczywiście. - Zdjęła dużą torbę z ramienia i pokazała jej zawartość.

Ochroniarze zajrzeli do środka i wymienili spojrzenia.

- Prosimy panią z nami.

- Co takiego? - Tori nie wierzyła własnym uszom.

- Dlaczego?

Klienci patrzyli na nią z ciekawością. Tori, czerwona ze wstydu, zajrzała do wnętrza swojej torby. Kie-

dy wstrząśnięta podniosła wzrok, natrafiła na triumfalne spojrzenie Hayley. Dziewczyna w ułamku sekundy znów przybrała minę niewiniątka, ale Tori zdążyła już zrozumieć, co się stało.

- Nigdy w życiu nie przeżyłam gorszego upokorzenia.

- Co zrobił Matt, kiedy do niego zadzwoniłaś z wiadomością, że cię aresztowali za kradzież w sklepie?

- Zachował się wspaniale, Sas. Zwolnił się z pracy i zaraz po mnie przyjechał. Znał jednego z policjantów, co trochę pomogło. Na pewno mu uwierzyli, kiedy wyjaśnił, że to intryga uknuta przez Hayley, ale...

- Nie płacz, Tori - prosiła ją siostra. - Serce mi pęka. A ostatnio byłaś taka szczęśliwa.

- Ale teraz wszystko się popsuło, i to z mojej winy.

- Co takiego?

- Wybuchła wielka awantura. Zebrała się cała rodzina. Matt powiedział, że tym razem Hayley posunęła się za daleko. Hayley krzyczała, że nie chce, żeby udawał jej ojca ani żeby ja udawała jej matkę. To było okropne. I to moja wina. Gdybym nie zjawiała się w ich życiu, Hayley by się tak nie zachowywała.

- Znalazłaby sobie jakiś inny pretekst - zapewniła Sara. - To przecież nastolatka.

Tori znów wybuchnęła płaczem.

- Będę miała adnotację w kartotece, że byłam karana. Nie dostanę stałej pracy w pogotowiu. Pewnie odbiorą mi uprawnienia pielęgniarские. - Bezskutecznie starała się opanować drżenie głosu. - Reszta dzieci

jest wystraszona kłopotami Hayley. Mart i Linda zdecydowali, że powinna na jakiś czas zamieszkać z dziadkami. Kiedy Bonnie zobaczyła, że Hayley się pakuje, wpadła w rozpacz. Mart ją teraz uspokaja.

- Może chcesz u nas przenocować? Przyjechać po ciebie?

- Nie. - Tym razem Tori udało się zapanować nad głosem. - Jak tylko wróciliśmy z policji, zaproponowałam, że pojedę do siebie, ale Mart się nie zgodził. Twierdzi, że to tylko utwierdziłoby Hayley w przekonaniu, że wygrała tę bitwę. Mówi, że musimy się trzymać razem.

- Może ma rację. - Ton Sary nie brzmiał zbyt pewnie. - Daj mi znać, jeśli będę mogła w czymś pomóc.

- Teraz to chyba nikt nie może pomóc - odrzekła Tori ponuro. - To wszystko jest takie okropne. Już chyba nie może być gorzej.

A jednak mogło. Następnego dnia wieczorem w domu Marta zjawili się Linda i Bob. Bliźniaki oglądały telewizję w salonie, a Charles ćwiczył u siebie grę na gitarze.

Kiedy rodzice weszli do kuchni, Matt od razu odgadł, że coś się stało.

- Chodzi o Hayley? Bob wolno skinął głową.

- Lepiej usiądź, synu. Hayley znów uciekła z domu.

- Sprawdziliście park?

- Powiedziała nam, że po szkole wybiera się do

Gemmy, koleżanki - mówiła Linda, jakby nie usłyszała pytania. - Dlatego zaczęliśmy się martwić dopiero, jak nie zjawiała się na kolacji. Nawet nam zostawiła telefon i adres Gemmy.

- Zadzwoniliście tam?

- Gemma twierdzi, że Hayley nie przyszła dziś do szkoły i że wcale nie były umówione. Sprawdziliśmy jej pokój. Zniknęły niektóre rzeczy. Zostawiła też kartkę z wiadomością, żebyśmy się nie martwili.

- Dzwoniliście do niej na komórkę?

- Telefon zostawiła w domu. - Głos Lindy załamał się. - Leżał na kartce z wiadomością.

- Mogę zobaczyć tę wiadomość?

Matka podała mu kartkę, przeczytał ją, a następnie oddał Tori. Hayley pisała:

Nie musicie się już o mnie martwić. Sama o siebie zadbam. Nie jestem wam potrzebna. Macie Tori. Nie szukajcie mnie, bo i tak nie znajdziecie. Już nigdy nie wrócę.

- O mój Boże - szepnęła Tori. - Ona to zrobiła przeze mnie.

- To moja wina, nie twoja - stwierdził ciężko Matt. - Chciałem ten problem rozwiązać na siłę.

A więc związek Tori z Mattem stał się teraz „problemem”. Czy oboje byli tak ślepo zakochani, że nie zauważyli, iż wrogość Hayley jest spowodowana brakiem poczucia bezpieczeństwa?

- Chyba nic sobie... - Linda nie mogła się zdobyć na dokończenie zdania.

- Czy nic sobie nie zrobiła? - Matt wyraził to, o czym wszyscy myśleli. - Nie wiem, ale nie sędzę. To nie jest list samobójcy, tylko wołanie o pomoc. Wydaje jej się, że jest niepotrzebna, że sprawia za wiele kłopotów.

- Dobrze wie, że poruszymy niebo i ziemię, żeby ją odnaleźć.

- Czyżby? - Matt westchnął. - Chyba właśnie to chce sprawdzić.

- Sędzę, że to jest jej ultimatum - powiedziała cicho Tori. - Ona każe ci wybierać. Ja albo ona.

- Ale to niedorzeczne! Nie może tego żądać.

- Postrzega mnie jako zagrożenie. Odciągam cię od dzieci, Matt. - Siłą woli powstrzymała napływające do oczu łzy. - Myślałeś, że twoim problemem jest znalezienie kogoś, kto zaakceptuje cię i twoją rodzinę, a tymczasem największą trudnością okazuje się to, czy rodzina zechce tę osobę zaakceptować.

- Aleja cię potrzebuję - oznajmił Matt. - Wszyscy cię potrzebujemy. Tylko Hayley tego nie rozumie.

- I pewnie nie zrozumie. Na dodatek właśnie udowodniła, że bez jej akceptacji nasz związek nie może funkcjonować. - Po raz pierwszy, odkąd Matt postanowił, że nie da sobą manipulować, Tori zauważyła w jego oczach cień zwątpienia.

- Tracimy tylko czas - oświadczyła. - Nie mogę jechać z tobą na poszukiwania, bo jestem ostatnią osobą, którą chciałyby zobaczyć. Mogę za to zadzwonić do jej koleżanek.

- Jeśli Hayley się nie znajdzie w ciągu najbliższych godzin, musimy zawiadomić policję - rzekł spokojnie

Matt. - Miejmy nadzieję, że wiedzą więcej niż my na temat tego, gdzie w naszym mieście może się zaszyć nastolatek.

Następnego dnia we wszystkich największych gazetach ukazała się notatka o zniknięciu Hayley, wraz z jej fotografią. Radio i telewizja przez dwa dni nadawały apele o pomoc w poszukiwaniach. Poinformowano szkołę i przepytano najbliższe koleżanki Hayley.

- Wszystkie mówią mniej więcej to samo - stwierdził policjant. - Hayley nie była zadowolona z sytuacji w domu i od wielu tygodni mówiła o ucieczce.

Od wielu tygodni. Co w takim razie przeważało szalę? Czy Hayley postrzegала jego związek z Tori jako odrzucenie jej osoby? Czy nocna wyprawa do parku była generalną próbą ucieczki z domu? Nigdy sobie nie wybaczy, jeśli coś się stanie Hayley. Bez względu na to, jak bardzo kocha Tori, nie powinien dopuścić, by ich związek zaburzył kruchą równowagę w nowej rodzinie. To wszystko jego wina.

Był zły przede wszystkim na siebie, ale dla zachowania równowagi musiał tę złość skierować gdzie indziej.

- Ona gdzieś tam jest i potrzebuje ochrony - zwrócił się do policjanta. - Obaj dobrze wiemy, co się dzieje na ulicach wielkiego miasta.

Prostytucja, narkotyki. Nie możemy siedzieć z założonymi rękami.

Właściwie co konkretnego zrobiła policja do tej pory? - spytał gniewnie.

- Niestety, możemy zrobić niewiele. Chyba że dostaniemy jakąś konkretną informację. Sprawdziliśmy wiele miejsc, ale nikt jej nie widział...

Tori pomogła Mattowi rozwiesić ogłoszenia w mieście. Robili to nocą, ponieważ i tak nie mogli zasnąć.

- Zawiadomiono posterunki w całym kraju, Matt. Policja stara się, jak może.

Na myśl o tym, że Hayley mogła się wybrać w podróż autostopem, Mattowi ścierpła skóra.

- Za granicę nie wyjedzie, nawet jeśli wzięła paszport.

- Teraz żałuję, że nie dałem jej karty kredytowej. Przynajmniej wiedzielibyśmy, czy jest w mieście.

- Można powiedzieć, że brak wiadomości to dobra wiadomość - rzekł policjant. - Niech pan się trzyma. Może te kilka dni ciężkiego życia poza domem czegoś ją nauczą.

Trzeciego dnia poszukiwań wszyscy byli u kresu wytrzymałości. W domu panowała ponura atmosfera, Bonnie nie przestawała płakać, Charles całkowicie zaniknął się w sobie i nawet ząwsze radosny Jack miał nieszczęśliwą minę.

Matt i Tori przeżywali to najgłębiej. Każde z nich obwinało siebie o zaistniałą sytuację. Poczucie winy izolowało ich od siebie i sprawiało, że jedynym kontaktem fizycznym stał się przyjacielski uścisk, wyrażający pocieszenie i wsparcie.

Wiedzieli, że to koniec. Po tym, co się stało z Hayley, ich związek wydawał się mało ważny. Jeśli... a raczej kiedy dziewczyna już wróci do domu, żadne z nich nie będzie chciało ryzykować, że znów poczuje się zagrożona i niepotrzebna. A przecież w domu jest

jeszcze troje dzieci, które za kilka lat mają wkroczyć w wiek dojrzewanania. Tori doszła do wniosku, że powinna była zaufać swoim początkowym przeczuciom. Przecież wiedziała, że związek z Mattem nie ma przyszłości. Matt chyba czuł to samo. Wyraził to głośno, gdy kolejnego wieczoru musiał znów długo utulać do snu płaczącą Bonnie.

- Od początku dawała znaki ostrzegawcze, ale ja byłem zbyt egoistyczny, żeby to zauważyć.

- Nie jesteś egoistą, Matt. Nie znam mniej samolubnego człowieka niż ty.

- Pamiętasz, jak Hayley zwymyślała nauczyciela? To było wtedy, jak postanowiłem wyjechać na weekend. A przecież wiedziałem, że dzieci dopiero przyzwyczajają się do nowej sytuacji i równowaga w naszej rodzinie jest bardzo krucha.

- Nie możesz poświęcać się wyłącznie dla innych. To nie leży w ludzkiej mocy. Trochę czasu musisz wygospodarować dla siebie.

- Może gdyby chodziło o czas poświęcony tylko sobie samemu, wszystko byłoby w porządku. - Potrząsnął głową. - Gdybym wyjechał na ryby, albo coś w tym rodzaju. Ale ja byłem zbyt zafascynowany tobą. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Dlaczego jesteś taka wspaniała, skarbie?

- Nigdy nie zamierzałam posunąć się tak daleko -przypomniała mu Tori. - Bardzo żałuję, że zdecydowałam się na ujawnienie naszego związku.

Teraz mam wrażenie, że nasze uczucie umiera... albo już umarło.

- Może po prostu podejmowaliśmy zbyt szybkie

decyzje? - Dotknął jej twarzy z iskrą nadziei w oczach. - Nie moglibyśmy po prostu cofnąć zegara i spróbować jeszcze raz?

- Spróbować zachować nasze uczucie w tajemnicy? Trochę na to za późno.

- Chodzi mi raczej o to, żebyśmy znów jak dawniej spotykali się co jakiś czas, kiedy nadarzy się okazja.

- Kilka godzin wyrwane z normalnego planu dnia? Anonimowy pokój w motelu? Czy naprawdę tego chcesz?

- Oczywiście, że nie. Ale czy mamy wybór?

- Tak - odrzekła cicho. - Możemy wszystkim dać jasno do zrozumienia, że nasz związek się nie sprawdził, że to koniec. Tylko w ten sposób Hayley odzyska poczucie bezpieczeństwa.

Zapadła cisza, która niemal złamała jej serce. Oznaczała ona, że Matt nie znajduje żadnych argumentów, żeby ją odwieść od tego pomysłu.

Oboje cierpieli jednakowo. Niektórych kawałków układanki nie da się do siebie dopasować. Ich związek został zniszczony przez Hayley i nie nadawał się już do naprawienia. Ale co z samą Hayley? Czy już weszła na drogę, której koniec, jak w przypadku Charlene, znajduje się w jakimś obskurnym garażu w podejrzanej dzielnicy miasta?

Tori wolno wstała zza stołu.

- Dokąd idziesz? - zaniepokoił się Matt.

- Zadzwoń później. - Nie czekając na pożegnalny uścisk, ruszyła do drzwi. - Muszę załatwić coś ważnego.

- Dobrze. Zadzwoń, jeśli nadejdą jakieś wieści.

- Dzięki. - Prawdopodobieństwo, że dowiedzą się czegoś nowego, było bardzo nikłe.

Chyba że... Tym razem Tori postanowiła zaufać swojemu instynktowi. Adres w centrum miasta łatwo było zapamiętać. Matt odnalazł go w kartotece pogotowia i dwa dni wcześniej przekazał policji.

- Wielu uciekinierów trafia właśnie tam - wyjaśnił. - W większości dziewczęta w wieku Hayley. Mieszkają w garażu na tyłach domu. Warto sprawdzić.

Policja udała się w to miejsce, ale nic nie znalazła. Jednak instynkt mówił Tori, że właśnie tam należy szukać. Monique nie będzie chętna do współpracy, ale może da się przekonać. A dziewczyna taka jak ona miała o wiele większą szansę niż patrol policji, żeby uzyskać jakąś informację w tym środowisku.

Tori z duszą na ramieniu wyminęła słabo oświetlony główny budynek. Nie chciała się natknąć na wytatuowanego mężczyznę z kolczykami połyskującymi na twarzy ani na agresywną starszą kobietę. Od czasu strasznej nocy, kiedy zmarła Charlene, minęło parę miesięcy, ale nic tu się nie zmieniło. Pojedyncza żarówka oświetlała brudne materace, wokół unosiła się wyraźna woń marihuany i niemytych ciał. Tori dostrzegła jakiś ruch przy drzwiach. Zapewne jej nadejście wzbudziło czyjś niepokój.

- Wszystko w porządku - zawołała Tori. - Jestem tylko znajomą Monique. Znajdę ją tutaj?

- Nie! Spadaj!

Nie dała się łatwo wystraszyć i weszła do środka.

Jedna z dziewcząt wyglądała znajomo. Miała kruczoczarne włosy, przesadny makijaż i czarną szminkę na ustach. W nocy, kiedy umarła Charlene, w garażu były dwie podobne dziewczyny.

- Pamiętasz mnie? - spytała ostrożnie Tori. - Byłam tu kiedyś i starałam się pomóc twojej przyjaciółce.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i zaciągnęła się skrętem.

- Teraz chcę pomóc komuś innemu. Dziewczyźnie mniej więcej w twoim wieku. Mam nadzieję, że Monique mi to ułatwi.

Jakaś dziewczyna w nasuniętym głęboko na oczy kapturze bluzy wyprostowała się i wrzuciła niedopałek papierosa do butelki po wódce. '

- Dlaczego miałabym ci cokolwiek ułatwiać? -Kaptur opadł i ukazała się w połowie wygolona głowa. Drugą połowę pokrywały dredy.

- Monique! - zawołała Tori z radością. - Jak to dobrze, że cię znalazłam. Możemy porozmawiać?

- O czym?

- Znam pewną dziewczynę, Hayley. Ma dopiero piętnaście lat. - Tori mówiła szybko, z nadzieją, że Monique jej wysłucha. - To siostrzenica mojego przyjaciela. Uciekła z domu, a jej rodzina zamartwia się na śmierć. Myślałam...

- Psy już tu były-przerwała jej Monique.-Nic nie wiemy.

Tori przymknęła oczy, starając się powstrzymać łzy rezygnacji. A więc nic z tego. Kolejna ślepa uliczka.

- To ty sypiasz z jej wujem, tak?

Gwałtownie otworzyła oczy. Taka informacja mogła dotrzeć do Monique tylko z jednego źródła.

- Widziałaś się z nią - szepnęła Tori. - Rozmawialiście. Proszę, Monique, musisz mi pomóc.

- Wcale nie muszę. Niby dlaczego?

- Mam pieniądze. - Wyjęła z kieszeni zwitek banknotów, który zabrała ze sobą właśnie w tym celu. - Mogą być twoje.

Przykucnęła i starała się pochwycić spojrzenie Monique, ale równie dobrze mogła próbować złapać węgorza.

- Przepraszam cię, Monique - powiedziała. - Przepraszam cię za to, że wtedy, wiele lat temu, nic nie rozumiałam. Przepraszam, że bardziej się nie starałam, żebyś poczuła się dobrze w naszej rodzinie.

Chude ramiona poruszyły się pod bluzą.

- To nie twoja wina - wymamrotała Monique. - Byłam wtedy niezłą jędzą. Zabrzmiało to niemal jak skrucha, przyznanie, że wszystko mogło ułożyć się inaczej. Tori wstrzymała oddech, kiedy dziewczyna zacisnęła rękę na pieniądzach.

- Ona jest tam - burknęła. - Na materacu.

Hayley leżała zwinięta w kłębek pod brudnym, skłębionym kocem. Tori usiadła obok niej na podłodze, choć miała ochotę uściskać ją na powitanie.

- Nic ci nie jest, Hayley?

- Nic.

Zabrzmiało to raczej fałszywie.

- Jesteś głodna?

Milczenie wystarczyło za odpowiedź.

- To może pójdziemy razem na hamburgera? - zaproponowała współczująco Tori.

- Pewnie będziesz mnie chciała zabrać do domu. - To zdanie było raczej prośbą niż protestem, ale Tori potrząsnęła głową.

- A jaki by to miało sens? Zawsze możesz znów uciec. Przecież nikt cię nie będzie trzymał w zamknięciu, żeby nie wiem jak bardzo cię kochał. A wierz mi, nikt nie mógłby bardziej cię kochać niż twoja rodzina.

W słabym świetle żarówki oczy Hayley zabłyśły podejrzenie. Czyżby łyzy?

- Bonnie każdego dnia płaczę przed zaśnięciem. Charles z nikim nie rozmawia i nawet nie dotyka gitary. Jack przestał się uśmiechać. - Uznała milczenie dziewczyny za zachętę. - Tęsknią za starszą siostrą, potrzebują jej. Nie sądzisz, że już dość się wycierpiały, kiedy straciły ojca i matkę? Czy muszą jeszcze stracić ciebie?

- Nie potrzebują mnie. Ty zostaniesz ich matką.

- To niemożliwe. - Łzy napłynęły jej do oczu, gdy usłyszała drzenie w głosie nastolatki. - Nigdy nie zamierzałam być niczym więcej, jak tylko partnerką Marta i waszą przyjaciółką. Ale teraz nawet to jest niemożliwe.

- Jak to?

- Mart podjął zobowiązania wobec ciebie i twojego rodzeństwa. Obiecał, że będzie was kochał i chronił, tak jak by to robili wasi rodzice. Nie dotrzyma tej obietnicy, jeśli ja nie odejdę, ponieważ dałaś jasno do

zrozumienia, że się nie zgadzasz na jego związek ze mną.

- On cię kocha bardziej niż mnie.

- To są dwa zupełnie różne rodzaje miłości i nie można ich porównywać - odrzekła smutno Tori. - Zresztą to i tak nie ma znaczenia, ponieważ ja kocham Marta tak mocno, że nie mogę patrzeć, jak się męczy.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że wygrałaś. Wyniosę się z waszego życia. Z życia Marta. Pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Że pozwolisz mi zabrać się do domu i że postarasz się być prawdziwym członkiem swojej rodziny. Może to nie jest rodzina, jaką kiedyś miałaś, ale nikt za to nie ponosi winy, a już na pewno nie ty. Masz wokół siebie ludzi, którzy cię kochają i nawet nie oczekują wzajemności. Chcą tylko, żebyś im pozwoliła się kochać.

Tym razem zapadła o wiele dłuższa cisza. Tori wiedziała, że bez względu na rozwój wypadków stoi na przegranej pozycji. Jej związek z Mattem nie przetrwa. Miała tylko nadzieję, że uda jej się zawieźć dziewczynę do domu.

- Możesz mnie wysadzić z samochodu na początku ulicy, żeby do domu doszła sama?

- Oczywiście.

Wahała się tylko ułamek sekundy. Lepiej będzie, jeśli Mart się nie dowie o obietnicy, jaką złożyła Hayley. Pomyśli, że go rzuciła, ponieważ nie dała sobie rady z problemami związanymi z jego rodziną. Będzie zły, ale może właśnie gniew ułatwi mu przetrwanie tych trudnych dni.

Hayley wstała z brudnego posłania i sięgnęła po leżącą na poduszce kurtkę.

- Zatrzymamy się po drodze na hamburgera?

Posiłek nie trwał długo, ale dał Tori możliwość powiedzenia dziewczynie jeszcze kilku ważnych rzeczy. Jej słowa zachęty, rady i ostrzeżenia pewnie nie dotarły do nastolatki, ale Tori miała wrażenie, że w ten sposób nadrabia to, co wiele lat temu zaniedbała wobec Monique.

Jak obiecała, podwiozła dziewczynę do początku ulicy, ale nie odjechała natychmiast. Widziała, jak Mart z radością wita w progu siostrzenicę i porywa ją w ramiona. Słyszała radosny, pełen ulgi śmiech.

Tym razem nie powstrzymywała łez.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Niby wszystko było tak, jak powinno, ale jednak nie do końca. Hayley czuła się podobnie, jak po śmierci rodziców. Rozumiała, że stało się coś bardzo złego i życie nigdy już nie będzie takie samo, choć wszyscy byli dla siebie mili i udawali, że nic się nie dzieje.

Kiedy weszła do pokoju, wujek Matt patrzył przed siebie z bardzo przygnębioną miną.

- Skończyłam wypracowanie na temat „Gdzie najbardziej chciałabym mieszkać”. Chcesz przeczytać? - zapytała.

- Jasne. - Uśmiechnął się, ale oczy nadal miał smutne.

Patrzyła na niego, kiedy czytał jej pracę. Był taki szczęśliwy, kiedy wróciła do domu. Na jej widok twarz mu się rozpromieniła, a do oczu napłynęły łzy. Płakał, bo ją kochał i bał się, że ją straci. Babcia też płakała. I Bonnie. Charles tylko trochę poczerwieniał, ale Jack uśmiechał się szeroko.

Jednak ta radosna atmosfera nie trwała długo. Hayley musiała opowiedzieć wujkowi o swoim pobycie w obskurnym garażu i o tym, jak Troi ją tam znalazła. Matt miał bardzo zdziwioną minę.

- Ale gdzie ona teraz jest? - zapytał. - Dlaczego nie przyjechała z tobą?

Hayley nie mogła mu powiedzieć, że wróciła do domu pod warunkiem, że Tori usunie się z ich życia. Za bardzo się wstydziła. Tak samo jak tego, że to przez nią rodzice wyszli za późno z domu i pewnie dlatego zginęli. Słyszała, jak wujek opowiadał babci, że rozmawiał z Sarą. Tori wyjechała na jakiś czas na Fidżi, na ich wyspę. Wujek miał zagniewaną minę. Powiedział, że nie rozumie, jak mogła tak po prostu go zostawić i że pewnie wystraszyła się kłopotów z dziećmi.

Babcia starała się go uspokoić.

- Nie martw się. Na pewno chce dać tobie i dzieciom czas tylko dla siebie. Jeszcze do was wróci.

Ale przecież Tori obiecała, że nie wróci. Kiedy jadły razem hamburgery, oznajmiła, że utrzymywanie za wszelką cenę związku z Mattem byłoby z jej strony samolubne, że takie postępowanie przynosi satysfakcję tylko na krótką metę, ale potem mści się na człowieku.

I to była prawda.

Matt oddał jej zeszyt.

- Wspaniale napisane, Hayley. Aż by się chciało od razu zamieszkać w takim domu. Nad morzem, blisko lasu. - Nic więcej nie dodał, ale oboje wiedzieli, że w swoim wypracowaniu opisała dom Tori. - Nauczyciele pewnie są zachwyceni, że stałaś się taką dobrą uczennicą.

Wzruszyła ramionami.

- Może.

Spojrzał na nią z niepokojem.

- Nic ci nie jest, skarbie?

- Nie. Dlaczego?

- Ostatnio jesteś taka cicha. Może chciałabyś

z kimś porozmawiać? Niekoniecznie ze mną, nie znam się na sprawach nastolatek. Może z babcią albo... albo z kimś ze szkoły?

- Ze szkolnym pedagogiem? Tylko frajerzy z nimi gadają. - Kogo chciał zaproponować, kiedy się zawahał? Tori? Na pewno bardziej by jej pomogła niż babcia. Nawet fajnie chodziło się z nią po sklepach... dopóki nie wprowadziła w życie swojego podstępного planu. -Nic mi nie jest - dodała stanowczo.

- W porządku. - Matt patrzył na nią badawczo. -Nie chcę, żebyś znów doszła do wniosku, że ucieczka z domu jest jedynym rozwiązaniem.

- Przecież obiecałam, że już nigdy nie ucieknę. -Do końca życia nie zapomni, jak okropny, choć na szczęście krótki był ten okres poza domem.

Wyszła z salonu, mijając po drodze opartą o ścianę, pokrytą kurzem gitarę Charlesa. Bonnie i Jack wybiegli ze swojego pokoju, głośno się o coś kłócąc.

- To moje!

- A właśnie że moje! Oddawaj! - krzyczał Jack, goniąc siostrę.

- Nie!

Jak można było przewidzieć, po kilku sekundach rozległ się triumfalny okrzyk Jacka i głośny płacz Bonnie. Hayley spodziewała się, że wujek Matt zaraz tu przyjdzie i załagodzi konflikt, ale nikt się nie zjawił.

Bonnie płakała cicho, a Jack z odebraną jej zabawką zamknął się w łazience.

Hayley westchnęła ciężko, przykucnęła przy młodszej siostrzyczce i niewprawnie ją objęła.

- Tęsknię za mamusią - szlochała dziewczynka.

- Wiem. - Hayley poczuła, że łzy kłują ją pod powiekami. - Ja też.

- I za Tori. Dlaczego odeszła? I ty też odeszłaś. Dlaczego jak kogoś kocham, to on zaraz odchodzi?

- To nieprawda. - Przytuliła dziewczynkę do siebie. - Przepraszam, Bonnie. Nie powinnam uciekać. Już nigdy tego nie zrobię.

Bonnie nadal płakała żałośnie. Hayley wtuliła mokrą od łez twarz w jasne loki dziewczynki.

- Nie płacz, kurczaczku - wyszeptwała. - Wszystko będzie dobrze.

Zobaczysz.

Ze skały roztaczał się piękny widok na plażę i morze. Właściwie to na tej wyspie wszystko się zaczęło. To tutaj złamała nogę i znudzona wymuszona przez gips bezczynnością zapisała się wraz z siostrą na kurs, na którym poznała Matta. Dzięki ukończonemu kursowi Sara wzięła udział w akcji ratunkowej, poznała Bena i wyprowadziła się z domu, przez co Tori została sama i dla urozmaicenia sobie życia postanowiła rozpocząć pracę w pogotowiu. To ułatwiło nawiązanie przyjaźni z Mattem.

Ślub Sary również odbył się tutaj i przyspieszył rozwój wypadków. Ich przyjaźń przekształciła się w miłość.

A teraz Tori cierpiała z powodu złamanego serca. Dziś czuła się już trochę lepiej niż tydzień wcześniej, kiedy tu przybyła. Ogrodnik Bena przywiózł ją na wyspę łodzią, jego żona Mara przygotowała dom na jej przyjęcie i ugotowała wspaniały posiłek.

Tori nie utrzymywała kontaktu z Mattem, ale co-

dziennie rozmawiała z siostrą i wiedziała, że życie w domu Buchananów powoli wraca do normy. Kiedyś będzie musiała rozmówić się z Mattem, ale miała nadzieję, że do tego czasu wzburzone emocje nieco się uspokoją.

Sara miała własne zmartwienia. Minęły już dwa dni od wyznaczonego terminu porodu, a jej dziecku wcale nie śpieszyło się na świat. Jutro, w poniedziałek, Tori miała się stawić w sądzie, oskarżona o kradzież sklepową.

Nie mogła dłużej odwlekać powrotu do domu. Torbę miała spakowaną, łódź czekała na przystani. Tori wstała niechętnie i z westchnieniem ruszyła w drogę.

Zgodnie z obietnicą Sara czekała na nią na lotnisku. Dzień był szary i ponury tak jak nastrój Tori. Kiedy jednak dojechały do mostu, chmury zaczęły się rozpraszać, a gdy dotarły do drogi prowadzącej do domu, popołudniowe słońce zalało wszystko wokół jaskrawym blaskiem.

- Czy tobie wolno prowadzić? Te podskoki na dziurach w drodze mogą wywołać poród.

- Nie miałabym nic przeciwko temu. - Sara zaciągnęła ręczny hamulec i jęknęła. - Ile można czekać?

- Wejdiesz na herbatę? - spytała Tori.

- Za chwilę. Najpierw musisz z kimś porozmawiać. Tori poczuła, że blednie.

- Matt? O mój Boże, Sas! Nie jestem jeszcze gotowa do takiej rozmowy. Jak mogłaś tak mnie zaskoczyć?

- To nie Matt. - Sara uśmiechnęła się, dodając jej otuchy. - Chodzi o jutrzejszą sprawę w sądzie. Powiedziano mi, że ta rozmowa musi się odbyć w cztery oczy.

- No tak. - Ponuro skinęła głową. - Jak skończę, to cię zawołani, dobrze?
Życz mi szczęścia.

Siostra roześmiała się.

- Może wcale nie będzie ci potrzebne?

Tori ze zdziwieniem zobaczyła, że na schodach wiodących na werandę siedzi Hayley.

- Cześć, Tori. - Dziewczyna zerknęła na nią spod opadających na twarz mysich włosów i szybko spuściła głowę.

- Cześć. - Tori z wahaniem weszła po schodach, a ponieważ niezręcznie jej było stać i patrzeć na czubek głowy dziewczyny, usiadła obok. - To ty chciałaś ze mną porozmawiać?

- No. Chciałam... chciałam cię przeprosić.

- Aha... Dziękuję.

- Byłam na policji - ciągnęła Hayley. - I w sklepie też. Wyjaśniłam, co się naprawdę stało. - Podniosła wzrok i przez chwilę patrzyły sobie w oczy. - Wycofali oskarżenie. Nie musisz jutro iść do sądu.

- Naprawdę? - Ulga mieszała się z niedowierzaniem. Czyżby Hayley znów wymyśliła jakiś podstęp? Jednak siedząca obok dziewczyna wyglądała jakoś inaczej. Tori po dłuższej chwili zdała sobie sprawę, na czym polega ta zmiana. - Wydoroślałaś, Hayley - stwierdziła ze zdumieniem. - Jak ci się to udało w tak krótkim czasie?

Dziewczyna w znajomy sposób wzruszyła ramionami. Zdziornie, a jednocześnie niepewnie.

- Chyba kilka spraw sobie przemyślałam.

- Nie tylko ty. - Tori westchnęła.

Zapadło milczenie przerywane tylko pokrzykiwaniem ptaka, który przysiadł na glicynii oplatającej słupki werandy.

- A więc nie straciłam wszystkiego - wyszeptała Tori. - Będę mogła wrócić do pracy, nie martwiąc się, że mnie zwolnią. - Chciała wstać, ale Hayley ją powstrzymała.

- Zaczekaj! - Zagryzła wargi. - Rozmawiałam też z wujkiem Mattem. Tori opadła na stopień i czekała.

- Był na ciebie zły, bo myślał, że wystraszyłaś się kłopotów i odeszłaś. Powiedziałam mu, co mi obiecałaś za to, że wrócę do domu. I... - Głos jej lekko się załamał. - Powiedziałam mu, że tak bardzo go kochasz, że aż postanowiłaś odejść, chociaż wcale tego nie chcesz.

Serce Tori biło jak szalone.

- A co on na to?

Dziewczyna wstała i wyprostowała się.

- Chodź do środka. Chcę ci coś pokazać.

Tori podążyła za nią do domu. Ze zdziwieniem zobaczyła, że Hayley kieruje się do największego, rzadko używanego salonu.

Przy drzwiach stała Bonnie. Miała na sobie niebieską sukienkę, a we włosach białe stokrotki. Z przejętą miną trzymała za rękę mniej szą od siebie dziewczynkę.

Phoebe była ubrana w strój, który miała na sobie podczas ślubu Sary. Miała też ten sam koszyczek, wypełniony płatkami kwiatów. Tori domyśliła się, że krzaki róż w ogrodzie nie wyglądają już tak efektownie. Potrząsnęła głową, starając się skupić myśli.

- Co tu się dzieje? - zapytała.

- Zaraz zobaczysz - rozległ się głos tuż za nią. Odwróciła się i napotkała roześmiane spojrzenie Sary. - Przepraszam, ale wejść pierwsza, bo jestem tu gościem.

Drzwi się otworzyły, a Tori oniemiała ze zdumienia. Meble w pokoju zostały przesunięte. Na środku ustawiono dwa rzędy krzeseł. Siedzieli na nich elegancko ubrani ludzie. Linda miała na głowie wielki różowy kapelusz!

Cały pokój ozdobiono kwiatami rododendronów. Ich delikatny zapach wypełniał powietrze. W pokoju panowała cisza. Jednak niezbyt długo. Gdzieś z boku rozległy się czyste, choć trochę niepewne dźwięki melodii granej na gitarze. Na końcu przejścia utworzonego między rzędami krzeseł stał na pustej skrzynce Jack, z otwartą książką w rękach. A tuż przed nim, z potulnym uśmiechem na twarzy stał... Mart, ubrany w elegancki garnitur. Trzymał wiązanek nieco przywiedłych stokrotek, takich samych jak te we włosach Bonnie.

Tori osłupiała. To najwyraźniej ma być ślub. Jej ślub.

Bonnie nachyliła się i szepnęła coś na ucho Phoebe. Obie ruszyły wzdłuż przejścia, z radosnym chichotem rozrzucając wokół płatki róż. Hayley trąciła Tori łokciem.

- Teraz ty - szepnęła. - Ja będę szła za tobą. Tori posłusznie zrobiła krok i się zatrzymała.

- Nic nie rozumiem. To jakieś szaleństwo - wyszeptała cicho.

- To tylko próba generalna - spokojnie wyjaśniła Hayley. - Takie przygotowanie do prawdziwej urocz-

stości. Wszyscy chcemy, żebyś wyszła za wujka. Tori, zgódź się.

Co mogła zrobić? Goście - Bob, Linda, Ben i Sara

- patrzyli na nią z wyczekiwaniem. Dziewczynki zasypywały wszystko wokół płatkami, a Charles trzeci już raz zaczynał grać. Jack starał się nie wiercić i zachować poważną minę, ale niecierpliwie prze-stępował z nogi na nogę, co groziło upadkiem ze skrzynki.

No i Mart... Mart spoglądał na nią, jakby była jedyną osobą na świecie.

Miłość widoczna w jego oczach przyciągała ją jak potężny magnes. Jak mogła mu nie ulec, skoro kochała go równie mocno?

Podał jej bukiet stokrotek, a jego oczy mówiły, że daje jej też swoje serce.

Tori poczuła, że rozplacze się ze szczęścia.

- Nie jestem odpowiednio ubrana - szepnęła. Mart tylko się uśmiechnął i puścił oko do Jacka.

- Najmilsi... - zaczął chłopiec.

- Bracia i siostry! - odpowiedziała mu Hayley.

- Najmilsi bracia i siostry! - z przejęciem zawołał Jack. - Zebraliśmy się...

- zerknął na kartkę papieru ukrytą w książce - zebraliśmy się tutaj, żeby zadać bardzo ważne pytania. Wujku, czy chcesz...

- Miały być pełne imiona! - upomniała go siostra.

- Dobra. - Jack wyprostował się z godnością.

- Matthew Charlesie Buchanan, czy chcesz pojąć za żonę tę oto Tori?

- Chcę - odrzekł poważnie Mart. - Jasne, że tak.

- A ty, Tori...

- Yictorio - poprawiła Hayley.

- A tak. Victorio Anno Preston, czy chcesz pojąć za męża wujka Matta?

- Chcę. - Ukradkiem otarła łzę. - Oczywiście, że chcę.

- Dobrze. - Jack rozejrzał się po salonie. - Jeśli ktoś ze zgromadzonych zna jakiś powód, dla którego tych dwoje nie może wstąpić w związek małżeński, niech przemówi teraz lub się zamknie na wieki.

- Zamilknie na wieki! - szepnęła Hayley.

- Właśnie! Na wieki! - dokończył triumfalnie Jack. Wśród gości rozległ się szmer rozbawienia. Jack wziął głęboki oddech.

- A czy ktoś ze zgromadzonych wie, dlaczego tych dwoje powinno się pobrać? Niech mówi teraz, albo...

- Ja wiem! - przerwał mu Ben z uśmiechem. - Bardzo bym chciał mieć takiego szwagra jak Matt, a Phoebe marzy o tym, żeby mieć mnóstwo kuzynów.

- A ja bym chciała zobaczyć, jak ten dom roi się od szczęśliwych ludzi - dodała Sara. - I chcę, żeby moja siostra wyszła za mąż za człowieka, który ją mocno kocha.

- Pragnę, żeby mojemu synowi towarzyszyła w życiu kobieta jakby dla niego stworzona - odezwała się Linda. - Ktoś tak serdeczny i ciepły jak Tori. - Trąciła łokciem męża.

- Już czas, żeby w tej rodzinie wydarzyło się coś naprawdę dobrego - zauważył szorstko Ben. - Mam nadzieję, że będziecie tak szczęśliwi jak ja i Linda.

Charles zaczerwienił się po korzonki włosów.

- Bardzo lubię Tori - wymamrotał. - Fajnie by było, jakby z nami zamieszkała.

Jack skinął głową.

- Jak cię nie było, to wujek chodził bardzo smutny
- powiadomił Tori. - Wszystkim nam było smutno.

Bonnie podniosła na nią oczy.

- Ja też cię kocham, Tori, i chcę, żebyś... - Spojrzała zaczepnie na Hayley.
- Wiem, że nie powinnam tak mówić, ale jestem jeszcze mała i potrzebuję mamusi. Phoebe ma teraz Sarę, a ja... ja chcę Tori.

Przysunęła się bliżej, a Tori objęła ją ramieniem i spojrzała w pełne łez niebieskie oczy. Hayley miała poważną minę.

- Zachowywałam się jak ostatnia kretynka - oznajmiła bez ogródek. - Może mi nie uwierzysz, Tori, ale zrozumiałam bardzo wiele z tego, co mi powiedziałaś. Dostajesz z powrotem to, co dajesz. Naprawdę chcę, żeby moja rodzina była znów szczęśliwa. Przeze mnie to wydawało się niemożliwe, ale postaram się pomóc i zrobię, co trzeba, żebyś... bo ja... - Westchnęła zrezygnowana, nie umiejąc znaleźć słów.

Matt ujął Tori za rękę i zastanawiał się, jak najlepiej wyrazić swoje myśli. Wydawało się, że obecni wręcz wstrzymali oddech.

- Bez ciebie życie już nigdy nie byłoby takie samo
- powiedział w końcu cicho. - Miłość jest jak magiczny pył, prawda? Moja miłość do tych dzieci, a przede wszystkim do ciebie sprawia, że świat wydaje się lepszy i piękniejszy. Nie mógłbym nikogo pokochać mocniej niż ciebie, Victorio. - Zamilkł, z wysiłkiem przełknął ślinę i uśmiechnął się przeproszająco.
- Obiecuję, że na prawdziwy ślub ułożę ładniejsze przemówienie.

- Nie trzeba. - Odpowiedziała mu uśmiechem.
- W moich uszach te słowa zabrzmiały pięknie i prawdziwie. Ja też cię kocham. Chcę z tobą spędzić resztę życia, z tobą i z resztą twojej rodziny.
- Uśmiechnęła się do Sary. - Moja rodzina też się powiększa. Na szczęście mam piękny, duży dom, więc będzie gdzie się spotykać w święta.
- Sara jęknęła głośno. I nie był to jęk przerażenia wywołany perspektywą gotowania świątecznego obiadu dla wielkiej rodziny.
- O mój Boże! - Tori pierwsza się domyśliła.
- Czy...
- Ben zerwał się na równe nogi. Matt ruszył w stronę Sary, nie wypuszczając dłoni Tori. Sara objęła brzuch rękami, zaczęła na ustąpienie skurczu i uśmiechnęła się niepewnie.
- Teraz to chyba już naprawdę - stwierdziła.
- Nie mam wątpliwości - wyszeptała Tori. Matt spojrzał na nią porozumiewawczo.
- Dlaczego tak stoicie? - zawołał Ben, blednąc.
- Niech ktoś wezwie pogotowie!